NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 21 sierpnia 1909. Nr. 34.

Bandyci w banku.

(Treść na str. 2).



Bandyci w banku.

(Do illustracyi tytułowej).

Niesłychanie śmiałego napadu dopuścili się w ubiegłym tygodniu w Rjece trzej bandyci rosyjscy, usiłując obrabować tamtejszy bank ludowy. Śmiały ten napad miał tragiczny przebieg, gdyż ofiarą padł dyrektor banku Milosevicz, zabity kulą rewolwerową.

Wedle doniesienia dzienników miejscowych przebieg napadu był następujący: O godzinie w pół do dziesiątej przed południem, przybyło do banku ludowego w Rjece, położonego w najbardziej ożywionym punkcie miasta, na placu Dantego, trzech obcych ludzi. Wewnątrz lokalu znajdowały się podówczas tylko trzy osoby, mianowicie dyrektor Milosevicz, służący węgierskiego banku powszechnego i służący banku ludowego. Dyrektor, ktory chwilowo zastępował kasyera, siedział przy okienku kasowem.

Przybysze zamknęli szybko drzwi za sobą, dobyli równocześnie rewolwerów i grożąc nimi, zażądali wydania pieniędzy. Mimo groźnej sytuacyi, dyrektor skoczył do telefonu, chcąc wezwać policyę na pomoc, zanim jednak zdążył to uczynić, jeden z bandytów wystrzelił z rewolweru, a dyrektor padł ciężko ranny na podłogę. Wówczas rzucili się bandyci na kasę i poczęli zgarniać pieniądze, obrabowano też służącego banku węgierskiego, który miał w torbie 4000 koron.

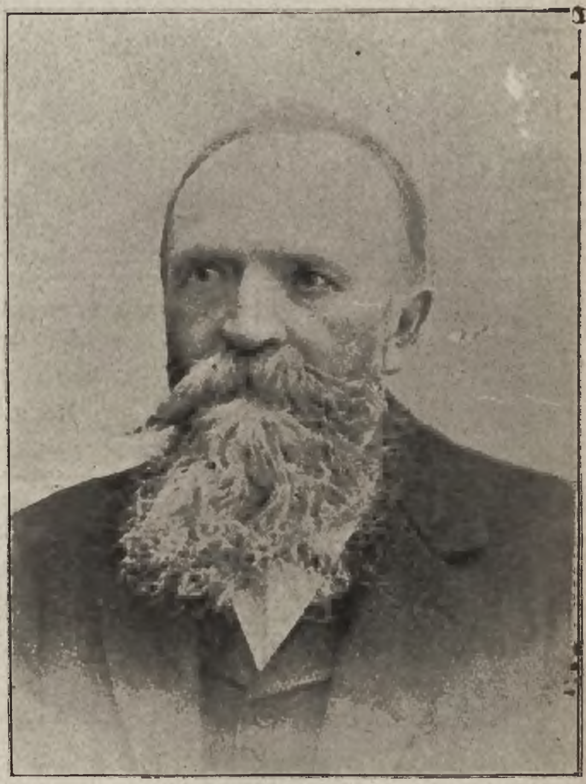
Huk strzału zwrócił jednak uwagę publiczności, która próbowała dostać się do wnętrza banku. Bandyci więc otworzyli drzwi i z podniesionymi rewolwerami wypadli na ulicę. Publiczność zoryentowała się szybko i rzuciła się niezwłocznie w pościg za zbiegami, mimo niebezpieczeństwa, z jakiem to było połączone. Co chwila bowiem któryś z bandytów odwracał się i strzelał w tłum. Strzałów padło przeszło czterdzieści.

Do ścigających przyłączyli się też policyanci, z których jeden z narażeniem własnego życia, umożliwił ujęcie najbliższego zbrodniarza. Dopadł go bowiem i w chwili, gdy ten próbował dać strzał, ciął szablą w ramię, poczem bandytę natychmiast schwytano i rozbrojono. Dwaj inni zdołali ujść pościgu.

Schwytanego bandytę odprowadzono do urzędu policyjnego, gdzie rozpoczęto śledztwo. W toku przesłuchania oświadczył aresztowany, iż nazywa się Salomon Kiszyniewskij, liczy lat 23 i pochodzi z Odessy. Znaleziono przy nim 4000 koron.



Zjazd w Cowes: Rodziny obu monarchów. Siedzą w pierwszym rzędzie: Księżna Walii, cesarz Mikołaj II., król Edward VII., cesarzowa rosyjska i ks. Walii z w. ks. Maryą; u ich stóp cesarzewicz i w. ks. Anastazya; stoją (od lewej ku prawej): Edward, książę Walii, królowa Aleksandra, Marya, księżniczka Walii, księżniczka Wiktorya i w. ks. Olga i Julianna.



Zgon działacza-patryoty: Ś. p. Bolesław Anc.

Dalsze śledztwo, prowadzone z wielką energią, wykazało, iż członkowie tej niebezpiecznej bandy rabusiów włóczyli się od dłuższego czasu po większych miastach Austro-Węgier, bawili w Wiedniu, Budapaszcie, Krakowie, Lwowie i Rjece.

Plan napadu na bank ludowy w Rjece był już dawno ułożony i poprzedni pobyt rzezimieszków w tem mieście miał na celu zoryentowanie się w sytucyi.

Policya jest przekonana, że w ciągu kilku dni uda się jej ująć wszystkich członków szajki.

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia dramatyczną chwilę napadu na bank.



Wycieczka nauczycielska do Wenecyi: Grono uczestników wycieczki z kierownikiem p. Szkodzińskim (X) na czele, na placu św. Marka w Wenecyi.

Wycieczka nauczycielska do Wenecyi.

Sekcya wycieczkowa krakowskiego „Ogniska nauczycielskiego" urządziła w sierpniu b. r. wycieczkę do Wenecyi, pod przewodnictwem prof. Jana Szkodzińskiego. Udział wzięło w niej 52 osób, między któremi była większa część, bo 32, pań.

Z Krakowa udali się wycieczkowcy naprzód do Wiednia, który pobieżnie zwiedzili, a stamtąd do Krainy, gdzie dokładnie zwiedzili słynne

groty w Postojnie. Niezwykły widok, jaki te groty przedstawiają, wywarł na wszystkich bardzo głębokie wrażenie, a zwłaszcza cudowne groty, zwane „Kościołem gotyckim“ i „Kalwaryą“.

W dalszym ciągu zatrzymali się wycieczkowcy w Tryeście i Mira-Mare, poczem oparli się aż w Wenecyi, gdzie był cel wycieczki. Zabawili w niej pełne dwa dni. Cudowne zabytki starowłoskiej architektury, nieprzebrane skarby sztuki, nagromadzone w tem mieście, zachwyciły oczywiście uczestników wycieczki; najwięcej podobał się im plac św. Marka, jako istotnie najpiękniejszy plac na ziemi, słusznie też salonem Wenecyi nazywany.

Wycieczka cała trwała 10 dni, a potrafiła grono uczestników tak sharmonizować, że z prawdziwą przykrością rozstawali się ze sobą.

Zjazd w Cowes.

Po spotkaniu się z prezydentem Francyi Fallières'em w Cherbourgu, cesarz rosyjski wraz z rodziną swą udał się do Anglii, gdzie odwiedził króla Edwarda VII w Cowes.

Spotkanie się tych dwu monarchów miało także charakter bardzo serdeczny i było dowodem, że stosunki polityczne między Anglią a Rosyą są jak najlepsze.

Już na kilka dni przedtem czyniono w Cowes gorączkowe przygotowania na uroczyste przyjęcie pary cesarskiej. Zarządzono też oczywiście odpowiednie środki bezpieczeństwa.

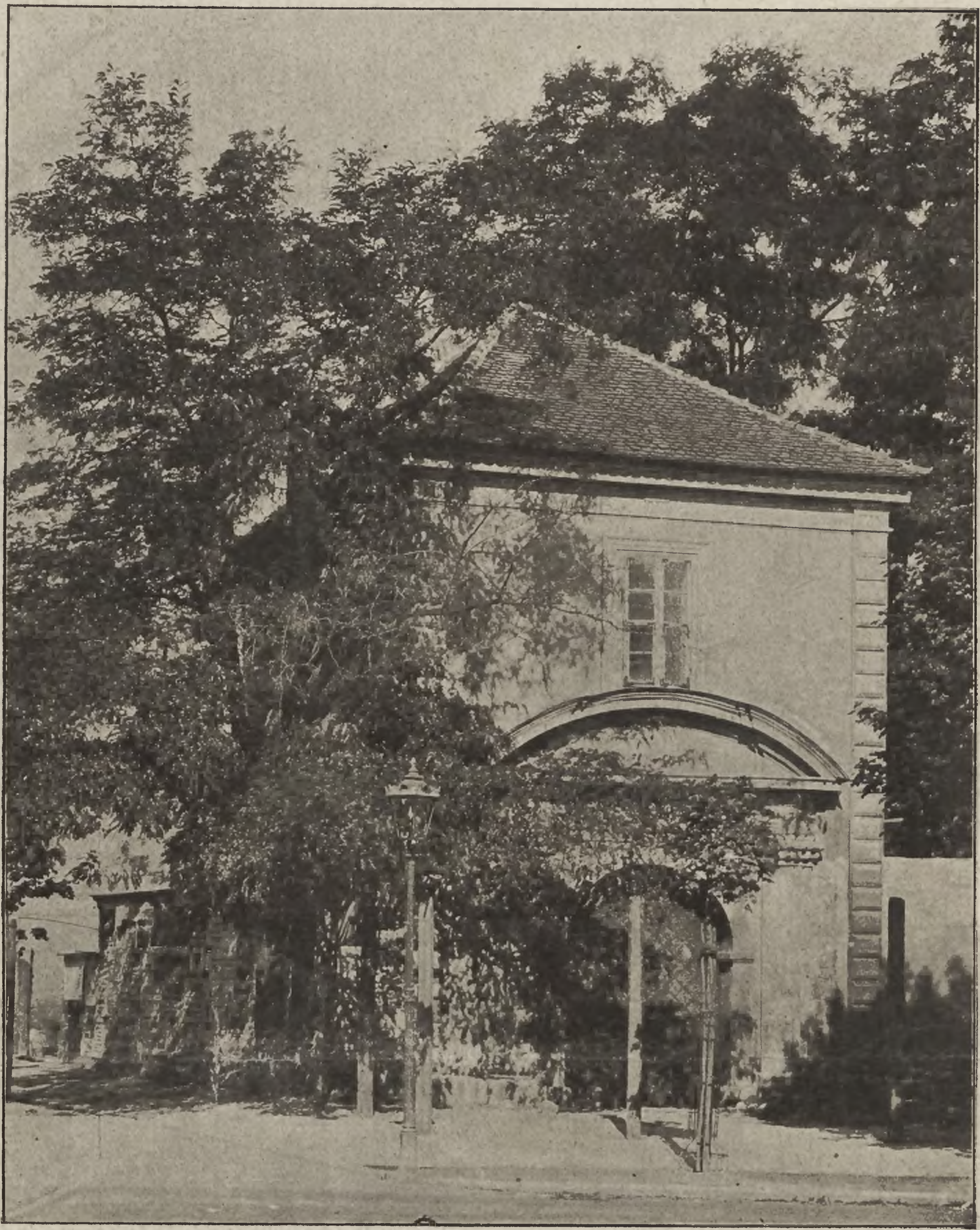
Jacht cesarski „Standart“, otoczony angielskimi i rosyjskimi statkami, przybył na kanał Spithead i zatrzymał się tuż obok miejscowości Cowes. Po zarzuceniu kotwicy, cesarz rosyjski udał się z rodziną na jacht króla Edwarda „Victoria and Albert“, gdzie odbyło się śniadanie.

Przybycie cesarskiej rodziny powitano strzałami armatnimi. Po śniadaniu odbył się przegląd floty angielskiej; przeszło 150 statków przepłynęło przed oczyma obu monarchów. Podczas tego orkiestra angielska grała hymn rosyjski, rosyjska zaś hymn angielski. Przegląd floty zakończył się o 4 popołudniu.

Nad wieczorem odbył się na pokładzie jachtu króla angielskiego obiad, w czasie którego obaj monarchowie wygłosili toasty, stwierdzające serdeczną przyjaźń między obu narodami.

Następny dzień pobytu cesarza rosyjskiego w Anglii poświęcony był wyścigom jachtów, które wypadły bardzo pięknie i ogólnie się podobały.

Prócz pary cesarskiej bawiły w Cowes dzieci cesarstwa, a prócz króla Edwarda VII i jego małżonki, następca tronu książę Walii, uderzająco podobny do cesarza rosyjskiego, księżna Walii oraz ich syn, nadto księżne Wiktorya i Marya.



Zagrożona pamiątka: Tak zwana „baszta“ przy ulicy Podwale, w której miał mieszkać Kościuszko w 1794 roku



Fot. L. Majewski, Tarnów.

Zjazd w Borzęcinie: Uczestnicy zjazdu: ks. dr. Jakób Górka (X) z Tarnowa, prezes zjazdu; 1. ks. dziekan Kmietowicz; 2. ks. proboszcz Kozak.

Zgon działacza-patryoty.

Zmarł we Lwowie w ubiegłym tygodniu jeden z najgorętszych patryotów, który całe swe życie poświęcił sprawie narodowej, walcząc dla niej za młodu orężem, a potem piórem, wybitny pisarz i myśliciel, Bolesław Anc.

Życie śp. Bolesława Anca pełne było burz i walk. Urodzony 1841 r. w Jędrzejowie, w Królestwie Polskiem, ukończył gimnazyum w Kielcach a uniwersytet w Petersburgu, poczem został nauczycielem gimnazyalnym. Kiedy wybuchło powstanie styczniowe, Anc wstąpił niezwłocznie w szeregi walczących. Wzięty do niewoli, miał ponieść śmierć na szubienicy, ułaskawiony jednak w ostatniej chwili, emigrował za granicę i w Gandawie ukończył politechnikę, poczem pracował jako inżynier prywatny w Paryżu. Wnet potem przeniósł się do Galicyi, powołany przez Wydział krajowy w dobie jego organizacyi do kierownictwa budowy kolei arcyks. Albrechta. Następnie przeniósł się do Rumunii jako inżynier kolejowy, a potem do Belgii, gdzie poślubił p. Józefę z Zagórowskich, córkę więźnia stanu. Przez belgijskie tow. kolejowe powołany został wnet potem do Serbii i Bułgaryi, gdzie prowadził budowę kolei z Belgradu do Konstantynopola, a po jej ukończeniu został naczelnym inżynierem kolei bułgarskich. Przez cały czas pobytu w Bułgaryi, był duszą tamtejszej Polonii, najserdeczniejszym krzewicielem ducha polskiego na obczyźnie, hojnym wspomożycielem rodaków-tułaczy, z żalem też żegnano go, gdy utraciwszy wzrok, przeszedł na emeryturę i wyjechał do Lwowa.

Tu nie przestał pracować dla sprawy narodowej i brał udział czynny w życiu patryotycznem stolicy. Nie brakło go nigdy i nigdzie tam, gdzie trzeba było pracy, gdzie trzeba było czynu lub rady przynajmniej. Ciągle był czynny, zawsze pełen zapału szlachetnego i ognia młodzieńczego. Szanowano też powszechnie jego zacny, czysty charakter, ceniono jego uwagi, oparte na doświadczeniu, chylono czoła przed jego osiwiałą, poważną głową.

Owocem jego rozmyślań jest długi szereg artykułów, zamieszczanych przeważnie w „Kuryerze lwowskim“, do którego najchętniej się zwracał. Z prac większych wymienić należy „Wspomnienia z 1863 r.“



Jubileusz popularnego muzyka: Adam Wroński.



Sokolstwo górnośląskie w Jaworznie: Gmach „Sokoła“ w Jaworznie.



Podbój powietrza: Roger Sommer na aeroplanie przed wzlotem.

Jubileusz popularnego muzyka.

W tych dniach obchodził trzydziestopięciolecie pracy kompozytorskiej jeden z najpopularniejszych muzyków polskich, Adam Wroński, którego utwory rozpowszechnione są i znane w całej Polsce.

Wroński jest Krakowianinem, a urodził się tu w 1850 r. Już jako młody chłopiec zdradzał talent i zamiłowanie do muzyki, którą studyował w bursie muzycznej. Kiedy wybuchło powstanie styczniowe, Wroński, choć był jeszcze dzieckiem prawie, ruszył na pole walki, po upadku zaś powstania powrócił do Krakowa i wstąpił do kapeli wojskowej 73 pp. W tym charakterze odbył kampanią pruską w 1866 r., poczem został na koszt pułku wysłany do konserwatoryum wiedeńskiego, celem dalszego kształcenia się w muzyce. Po odbyciu następnie służby wojskowej, powrócił na stałe do Krakowa, gdzie był kapelmistrzem orkiestry cywilnej i teatralnej. Z kolei przeniósł się do Kołomyi, na stanowisko dyrektora tamtejszego towarzystwa muzycznego, poczem był przez szereg lat dyrygentem orkiestry teatralnej w Samborze i Stryju. Obecnie zaś jest dyrektorem kapeli zdrojowej w Krynicy.

Działalność Wrońskiego jako muzyka, jako kompozytora, jest bardzo ożywiona i płodna. Skomponował on mnóstwo utworów na fortepian, skrzypce oraz do śpiewu; ogromnie popularne i znane są jego mazury i walce. Nadto zillustrował Wroński muzycznie kilka utworów scenicznych.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

34 (Ciąg dalszy).

Gdy pani pozna rozkosz, jaką daje praca, chętnie podejmie się pani wszelkiej roboty, by własnym wysiłkiem zarobić sobie na życie. Człowiek nabiera wtedy nowej wartości, staje się dumnym z tego, co czyni. Poczuje się pani inną kobietą. I wtedy będzie pani zasługiwała na oglądanie córki, którą pani Mitre mnie powierzyła. Wzbudzą się w pani uczucia macieżyńskie, które napełnią panią rozkoszą i szczęściem. O tem właśnie myślałam; co pani teraz powie?

Adwokat Rascoil spoglądał ciekawie na swą klijentkę, adwokat Poupette pogrążył się w kontemplacyi desenia dywanu. Ninetka po kilku ruchach nerwowych, które mogły uchodzić tak za stłumione łkanie, jak i za objawy niecierpliwości, zawołała:

— Jakże ja mam pracować? Nie lubię pracować, nie nawidzę pracy. A jechać gdzieś do nieznanego kraju, nigdy!... wolałabym umrzeć.

— To rozwiązuje całą kwestyę — rzekła pani Seymour z żalem. Widocznie pani posiada jakieś środki do życia!

— Środki, ależ mąż mi nic nie pozostawił!

— Zapomina pani o emeryturze, zauważył adwokat Poupette.

— Taka nędzna, a jeszcze ponadto Edgard wydziedziczył mnie z tych czterech groszy, jakie posiadał.

— Panią Seymour oburzyła ta niesumienność, rzekła więc surowo:

— Nadzieje swoje opiera pani widocznie na urodzie, ona pozwoli pani nadal prowadzić lekkie życie; piękność jednak, niech mi pani wierzy, minie, a gdy nadejdzie starość, będzie ona daleko cięższą dla pani, niż dla kogo innego.

Ninetkę słowa te dotknęły żywo. Wiedziała, że jest jeszcze młodą i piękną. A gdy postarzeje się, wtedy dopiero pomyśli o tem.

Pani Seymour mówiła jednak dalej:

— Mam uczynić pani jedną propozycyę. Jak już powiedziałam, pani Mitre i opiekun pan Le Chars zgodzili się, bym zabrała z sobą Made, do której się przywiązałam. Szczęśliwa jestem, że mogę zabezpieczyć jej przyszłość. Otrzyma staranne wychowanie; by mogła się stać uczciwą i wykształconą kobietą. Kocham ją i wszystko uczynię, by stała się godną swego ojca.

Ninetka zagryzła wargi, wzruszając lekko ramionami.

— Uznaję jednak, iż zamiar ten mogę doprowadzić do skutku tylko wtedy, jeżeli uda mi się usunąć ją od wszelkich złych wpływów. Chcę przez to powiedzieć, że jeżeli pani godzi się na moje warunki, musi pani zrzec się widywania córki, dopóki pani nie zmieni trybu swego życia. W zamian chcę pani zabezpieczyć byt niewielką pensyą, która razem z emeryturą po mężu pozwoli pani żyć wygodnie, lecz nie zbytkownie. Prosiłam dlatego o obecność panów, by byli świadkami naszej umowy. Niech pani pomyśli, zanim mi odpowie.

Adwokat Rascoil chciał tutaj coś wtrącić, ubiegł go jednak kolega Poupette:

— Nie skrywałem przed panią Seymour, że podobna umowa, zwrócił się do adwokata Ninetki, nie ma żadnego znaczenia wobec prawa i najwyżej może mieć tylko wartość wzajemnego moralnego zobowiązania się.

— Jestem zmuszona zadowolić się tem, na co wypadki mi pozwalają, rzekła pani Seymour. Zobowiązuję się na piśmie pod słowem honoru. Czy chce pani to samo uczynić?

— Dobrze, dosyć już mam tego — rzekła żywo Ninetka, podnosząc się z fotelu. Myli się pani, jeżeli sądzi, że chodzi mi o pieniądze i że sprzedaję córkę. Sprawę tę proszę załatwić z tymi panami, a co oni mi zaproponują, chętnie na to przystanę. Wahałam się przez chwilę: namowa do pracy... wyjazd... stać się godną córki... Tak... a potem nie i nie! Co robić? Macierzyństwo, to nie dla mnie, to ciężar za wielki!

Adwokat Rascoil błysnął łobuzersko oczami, adwokat Poupette opuścił wstydliwie wzrok ku ziemi.

— Kocham Made po swojemu... Uznaję, że to nie jest dobre dla tej małej... Pani ma szlachetną minę, chociaż mówi bez ogródek, och, nie! Wszystko to jest wina mego męża i świekry... a i moja także... Och! wiem o tem. Nie wchodzi się jednak po pochyłości, po której się zwolna staczało... Cóż robić... A teraz, rzekła Ninetka stanowczo, o ile na to pozwalał jej charakter, jest już za późno, powierzam pani swoją córkę i nie będę jej widywała...

— Zresztą, rzekł adwokat Rascoil, chcąc wszystko załagodzić, to rozstanie może będzie tylko czasowe; pani Seymour pozwoli na widzenie...

— Oh! to już postanowione — rzekła Ninetka, Nie zmienię... Trzeba mnie brać taką, jaką jestem. Widzę, że pozostaje mi tylko podziękować pani i przyjąć pani wzgardę. Dziękuję więc, a jeżeli Made będzie szczęśliwą i stanie się dzielną kobietą, podobną do pani, tem lepiej, nie będę jej stawiała przeszkód swą hańbą.

Pani Seymour podniosła się. Poruszona była tym tonem ironii, w którym brzmiała nuta bólu. Lecz co począć? Ninetka sama się potępiła i zadecydowała o swym losie.

— Pani się może namyśli — rzekła po raz ostatni z dobrocią.

— To zbyteczne! Pani dokończy już wszystkiego z tymi panami.

— Córka pani jest tutaj. Może pragnie ją pani jeszcze ucałować?

Na twarzy młodej kobiety zaźnaczyły się sprzeczne uczucia, potem rzekła z dziwnym uśmiechem:

— Nie... Żegnam panią...

Po wyjściu Ninetki, adwokaci znowu usiedli i zaczęli układać razem z panią Seymour warunki tej umowy i wysokość pensyi rocznej.

Gdy pani Seymour znalazła się sama z Made, ucałowała ją czulej niż zazwyczaj, pocałunkiem matki i babki.

Tegoż wieczoru Joanna jechała już pospiesznym pociągiem na Medyolan do Wenecyi. Zatelegrafowała do męża i spodziewała się depeszy w Medyolanie. Nic jednak nie otrzymała. Przynajmniej będzie oczekiwał jej na dworcu w Wenecyi. W miarę jak odległość zmniejszała się, doznawała ulgi: ujrzeć Maurycego, uściskać go, dodać mu otuchy, ponieważ był tak smutny bez niej!...

Ukazały się laguny, pociąg biegł po żelaznym moście. Wjechano na dworzec. Wychyliła się z okna.

— Maurycy!

Nigdzie go nie widzi.

Jakiś mężczyzna zbliżył się do wagonu: sekretarz Dyonizy Friand z zasmuconą miną.

— Chodźmy, zaraz pani wytłómaczę...

— Nieszczęście?

— Nie sądzę, nieporozumienie zapewne. Pan Le Chars przyjechał prawdopodobnie do Paryża, gdy pani stamtąd wyjeżdżała... albo...

— Męża niema w Wenecyi?

— Nie.

— Chory? Co się stało? Pan coś ukrywa. Gdzie jest?

— Wszystkiego pani się dowie. Odwagi! Nic jeszcze nie stało się strasznego...

Gondola unosiła ich szybko, a sekretarz przygotowywał panią Le Chars pomału i ostrożnie do całej prawdy. Co za straszne odkrycie! Maurycy grał. Maurycy rujnował się. Maurycy zadłużył się i przegrał na słowo... Znowu zaczął palić opium i to mówił jej Friand jako okoliczność łagodzącą. Blada, nie mogąc płakać, z naprężoną wolą słuchała, siedząc w gabinecie męża, gdzie unosiła się jeszcze woń opium.

— Lecz gdzie jest, gdzie jest?

Rzekł głosem zrozpaczonym:

— Sądzę, że może jest w Paryżu, nic mi nie powiedział, rzekł tylko: „Polecam panu na kilka dni konsulat. Muszę wyjechać“. Nie odpowiedział mi na żadne zapytanie; wyraz oczu miał błędny; już pięć dni jak pojechał.

W chwili tej służący przyniósł depeszę:

— *Una telegramma, signor.*

— To dla mnie, pozwoli pani, że przeczytam. Zbladł i podał depeszę pani Le Chars, która przeczytała:

„Położenie bez wyjścia, proszę pożyczyć tysiąc franków na zapłacenie podróży i hotelu.
Le Chars“.

Datowane było z Monte-Carlo. Joanna, drżąc cała, napisała pospiesznie depeszę i zadzwoniła:

— W tej chwili do telegrafu! rozkazała. Zwróciła się do Frianda:

— Jadę, przywiozę go, ocalę!

Oby tylko przybyła w czas — pomyślał sekretarz.

XXXII.

POMYSŁ COCKLEYA.

Obiad wydany przez Plumpisha na cześć doktora Cruxa i Saffroya upływał bardzo wesoło, dzięki zwłaszcza licznym toastom. Zapanowała najserdeczniejsza atmosfera. Doktór Crux znalazł się w takiem usposobieniu, iż wychodząc z gabinetu, nie mógł trafić do samochodu, Saffroy zaś postanowił bawić się do rana i zaproponował Plumpishowi wieczów w Olimpii. Plumpish nie przystał: ostatnie przygotowania do wyjazdu, ułożenie rzeczy nie pozwalają mu na tę rozrywkę; rozstali się.

— Do widzenia, drogi kolego.

— Przyjemnej podróży, kolego Plumpish.

Śmieszny on jest, myślał Saffroy, udając się do kabaretu, by zakończyć wesoło noc. Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ten Plumpish jest Plumpishem.

Doktór Crux po powrocie do Auteuil tak był rozespany, iż dał się rozebrać negrowi i po stwierdzeniu, iż portyer przyniósł we właściwym czasie wszystkie klucze, położył się zaraz do łóżka. Zasypiając już, zawezwał jeszcze portyera:

— Groot! Olbrzym ukazał się na progu.

— Psy spuszczone? Groot kiwnął głową.

— Nic nowego? Groot pokręcił głową od prawej strony do lewej. Wtedy Jocko, który składał ubranie, odezwał się:

— Pan Groot nie wie. Kapitan Huchssetts powiedział mi, iż dzisiaj w nocy chce poderznąć pana doktora.

— Ach, przeklęty! I co, Jocko?

— Wtedy główny dozorca odebrał mu nóż kuchenny, jaki sobie schował na brzuchu i związał go sznurami na łóżku, by leżał spokojnie.

— Dobrze zrobił, chociaż to nie według regulaminu; są do tego kaftany bezpieczeństwa. Ten Huchssetts jest nieznośny... ah! aah! aaah!...

Doktór ziewał coraz bardziej i wkrótce zasnął.

— Dobranoc panu doktorowi...

— Dobranoc, szepnął jeszcze Crux.

Groot i negr oddalili się. W kilka chwil potem głośne chrapanie oznajmiło, iż doktór Crux przeniósł się już do krainy marzeń. Skorzystał z tego Jocko, który zrzucił pospiesznie liberyę, przebrał się w modny garnitur, naperfumował i po cichu wymknął się z zakładu, by załatwić swe sprawy sercowe. Groot obszedł jeszcze w towarzystwie psów cały park, potem powrócił do swej loży, gdzie po pokrzepieniu się kilkoma kieliszkami na noc, położył się i zasnął.

Wśród zupełnej ciszy noc płynęła spokojnie.

Na odległym zegarze wybiła druga godzina. W chwili tej zajechał z boku parku samochód. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna, a została w nim tylko dama, okryta długą, gęstą woalką i szofer w futrze z wielkimi okularami na oczach. Mężczyzna poszedł swobodnym krokiem wzdłuż ogrodzenia zakładu neurologicznego; po kilkunastu krokach ujrzał małą szopę mularską z kawałkami gruzu i z leżącemi na boku motyką, rydlem i taczką. Nie zwrócił na to uwagi i szedł dalej, aż zatrzymał się przed główną bramą, ozdobioną stalowemi, złoconemi liliami. Po przez chmury padł promień księżyca i oświecił jego postać. Był to Cockley w wieczorowem ubraniu. Policzył kraty bramy i podniósł do góry piąty pręt, lewą zaś ręką nacisnął trzeci kwiat lilii: drzwi się otworzyły. Sekret ten doktór Crux wyjaśnił w przystępie serdeczności Plumpishowi, który przyrzekł sobie skorzystać z tego, gdy nadejdzie chwila uwolnienia pani Morailles. Czas ten nadszedł.

Zamknął po cichu za sobą drzwi i skierował się do pawilonu portyera. Przyłożył ucho do okna i słuchał. Doszło go ciche chrapanie. Wyjął z kieszeni kawałek dyamentu i czterema liniami przeciął szybę w dzwiach. Potem nałożył skórzaną rękawiczkę i naciskając od dołu szybę, wyjął ją bez szelestu. W uczyniony otwór włożył rękę i bez trudu przekręcił klucz od drzwi. Grot nie obudził się. Cockley zbliżył się w ciemności do łóżka portyera i zdejmując z głowy szapoklak, złożył go.

Rozległ się szelest, który jednak zdołał wyrwać ze snu człowieka, przyzwyczajonego do częstego budzenia się. Ręką zaczął szukać na stoliku zapałek. Cockley nie zostawił mu jednak czasu do zaświecenia ich: jedną ręką nacisnął kieszonkową lampkę elektryczną o dość silnem świetle, drugą otworzył szapoklak, tak iż jednocześnie blask lampki i huk kapelusza poraził zmysły Groota. Pozostał jak skamieniały, z okiem błędnem, z twarzą przerażoną.

— Hypnoza, szepnął Cockley, wszystko idzie dobrze.

Wpływ hypnotyzmu na Groota odkrył pewnego wieczoru, gdy rozmawiał z nim w jego loży. Był on skłonny do snu hypnotycznego, jeżeli tylko nagłe światło lub niespodziewany huk wstrząsnęło jego systemem nerwowym. Dla pewności Cockley użył odrazu dwóch środków. Pochylił się nad Grootem i rzekł mu rozkazującym głosem:

— Spij!

Głowa portyera opadła na poduszki. Wtedy z całym wysiłkiem woli i energii, patrząc się na niego, Cockley mówił:

— Groot, poznajesz mnie?

Olbrzym mruknął coś, co oznaczać miało tak.

— Będziesz mi posłuszny. Gdy się obudzisz, pójdziesz powiązać psy. Rozumiesz mnie?

Nowe mruknięcie.

— Będę ci towarzyszył. Nie będziesz mnie widział, ani słyszał. Będę dla ciebie tak, jakbym wcale nie istniał. Gdy zwiążesz buldogi, położysz się spać. O czwartej godzinie stróż obchodzi cały park?

— Hm!... wybełkotał olbrzym.

— Dobrze, o trzy na czwartą spuścisz na nowo psy, a potem wrócisz spać do siebie i wstaniesz dopiero o czwartej. Zrozumiałeś?

— Hm!...

— Obudź się...

I Cockley, który nieraz już dokonywał podobnych operacyi, dmuchnął w oczy portyerowi, a potem cofnął się w róg pokoju. Groot pod wpływem suggestyi ubrał się automatycznie, zapalił latarnię i skierował się do pawilonu doktora. Otworzył drzwi, przeszedł przez długi korytarz i drugiemi drzwiami wszedł do parku. Cockley posuwał się za nim kilkanaście kroków, potem zatrzymał się w cieniu drzewa. Po trzech minutach portyer wrócił i skierował się do swego mieszkania.

Cockley pozostał sam, wolny. Psy zostały uwiązane aż do czwartej godziny. Czasu miał dosyć. Poszedł do pawilonu pani Morailles. Zazwyczaj Iron spał w przedpokoju na składanem łóżku, pani zaś Bock pod drzwiami w sąsiednim pokoju. Teraz jednak *nurse*, zrozpaczona o los swój, który zależał od Roggersa, schowała się daleko u krawcowej w Menimoltant, Iron zaś zasnął głęboko w winiarni, do której co wieczór zaglądał celem pokrzepienia czerwonem winem swych sił. Sen ten jednak był niespodziewany i pozwalał domyślać się, iż nastąpił on za przyczyną Cockleya. Przyjaciele Irona, portyer i Jocko, skryli jego nieobecność przed doktorem Crux, pawilon więc pani Morailles pozostał na tę noc bez straży.

Gdy Cockley otworzył go fałszywym kluczem, usłyszał słaby głos:

— Czy to pan?

— Tak, to ja, niech się pani nie obawia.

Wyciągnął rękę w stronę przewodu elektrycznego i odkręcił guzik; znaleźli się w świetle. Markiza była ubrana już do wyjścia; w braku kapelusza miała na głowie chusteczkę koronkową.

Przestraszył się wyrazu jej twarzy, na której malował się smutek, przerażenie, podniecenie; obawiał się ataku nerwowego.

— Niech pani będzie spokojną.

Odgadła jego myśli i rzekła:

— Nie obawiam się niczego. Dzisiaj popołudniu wypiłam nowy kielich żółci.

Przypomniał sobie wizytę markiza... domyślił się sceny, jaka tu się rozegrała.

— Za dziesięć minut portyer będzie już spał, za dwanaście minut wyjdziemy stąd.

Pani Morailles spojrzała na niego.

— Ufam panu, lecz jak stąd wyjdziemy?

— Bardzo zwyczajnie, przez drzwi.

— Są zamknięte.

— A czyż nie otworzyłem drzwi pani pokoju? To samo stanie się i z innemi.

Pokazał jej kilka dorobionych kluczy.

— A potem?

— Samochód znajduje się w pobliżu, czeka w nim pani Seymour.

Dwie łzy spłynęły z jej oczu po wynędzniałej twarzy.

— Pan mnie ocala... Jak mogę się odwdzięczyć?... Pan się jednak naraża... Tam są psy...

— Już są na łańcuchu.

Z pewną ciekawością zwróciła wzrok na niego; na twarzy Cockleya nie widziała śladów Plumpisha. Uśmiechnął się:

— To ja... To jest moja własna skóra i moje rysy.

Rękami wzięła się za skronie i rzekła bolesnym głosem:

— To prawda, pamięć moja osłabła. Przypominam sobie; pan mi wybaczy...

Cockley nachylił się, jakby nadsłuchiwał, nagle zakręcił elektryczność.

— Pst!

Nastąpiła długa chwila obawy, okrutna dla pani Morailles, której serce biło jak młotem.

— Nie, nic, rzekł Cockley. Zdawało mi się... Wyglądało to, jakby w pawilonie doktora ruszało się jakieś światło. Był to bezwątpienia blask księżyca. Dwanaście minut już upłynęło. Proszę podać mi rękę i wychodźmy bez szmeru. Cokolwiekby się stało, ani jednego słowa!

Uczuł, jak drży, po chwili jednak zapanowała nad sobą.

Przestąpili próg i gdy znaleźli się przed wejściem do pawilonu doktora, by przejść przez korytarz, nagle z tyłu ukazał się wielki cień.

Był to człowiek z rewolwerem w ręku.

Huchssetts! Szalony!

Wrzasnął przeraźliwie, w ciemnościach świeciły się białka jego oczu i zęby. Zagrodził przejście.

Cokley rzekł mu po cichu, lecz głosem rozkazującym:

— Na kolana, nieszczęsny; nie widzisz, że to księżniczka Dżidżem, która z obłoków zeszła po ciebie.



Policzył kraty bramy i podniósł do góry piąty pręt.

— Och! księżniczko!... jęknął szalony, padając na ziemię przed przestraszoną panią Morailles, wybacz swemu niewolnikowi...

Upuścił rewolwer, który Cockley pochwycił szybko, mówiąc:

— Księżniczka udzieli ci audyencyi w wielkiej sali tronowej; mufti przyjdzie po ciebie. Pozostań na kolanach.

— Tak. tak, szeptał Huchssetts, bijąc czołem o ziemię. Och! Dżidżem, perło wschodu, roso jutrzenki!...

Cockley otworzył drzwi do korytarza i wchodząc razem z panią Morailles, zamknął je za sobą.

— Tędy, wskazał Cockley.

Na drugim końcu przejścia znowu włożył klucz do zamku, przekręcił go i popchnął. Drzwi nie otwierały się.

Czyżby się omylił? Nie, drzwi powinny się otworzyć, a jednak pod naciskiem jego ani nie drgnęły. Uwięzieni!

Z jednej strony zamknięci, z drugiej zagrożeni przez waryata.

— Co mogło się stać z temi przeklętemi drzwiami? mruczał Cockley.

Znowu usiłował je otworzyć, lecz napróżno!

Nagle uderzył się w czoło z rozpaczą.

Potrójny idyota! Zasuwka!

Przecież była tam zasuwka, wiedział o tem, ale nigdy na nią nie zamykano. Któż więc mógł ją zasunąć? Może Groot? lecz nie; wypadek to spowodował.

Gdy portyer wracał do siebie, doktór Crux usłyszał szmer na korytarzu i poszedł przekonać się, co to jest. Nie ujrzał nic podejrzanego, wszystkie drzwi były zamknięte, spostrzegł jednak zasuwkę i przez zbytek bezpieczeństwa zasunął ją.

Cockley podrapał się po głowie, co było u niego znakiem głębokiej troski. Wyjął z kieszeni rewolwer Huchssettsa, schował go jednak z powrotem.

— Nie, ani krwi, ani żadnego szumu.

Zwrócił się do pani Morailles:

— Pani pozostanie tutaj, nic tutaj pani nie grozi.

Przestraszona kobieta schwyciła go za rękę.

— Nie, nie, niech mnie pan nie pozostawia samej.

— Za trzy minuty będę z powrotem... Proszę się nie obawiać.

— Ten waryat?...

— Już się z nim załatwię...

Cockley otworzył ostrożnie drzwi, za któremi klęczał kapitan, powtarzając ciągle:

— Allah, ur Allah!

— Podnieś się, rzekł Cockley. Księżniczka raczyła zstąpić do twego pawilonu. Oczekuje cię tam, chodź...

Cockley spodziewał się, że gdy tam wejdą, zarygluje drzwi pokoju Huchssettsa. Waryat podniósł się z natchnioną miną i udał, że idzie razem z Cockleyem... Zaledwie jednak uczynił parę kroków, rzucił się zdradziecko na niego i chwytając za szyję, zaczął go dusić.

— Przeklęty psie, nieczyste bydlę, nie udało ci się oszukać mnie. Jesteś moim rywalem, tyś książe Mesrur, zginiesz teraz.

Huchssetts posiadał olbrzymią siłę, Cockley był nader zwinny i miał ręce jak ze stali, przytem znał sztukę jiujitsu, atak jednak kapitana był niespodziany. Walczył, jak człowiek, który broni życia, czuł mimo to, że słabnie, że ginie. Nagle Huchssetts poślizgnął się i padł na ziemię. Cockley przydusił go do trawy, ubezwładnił i poniósł do oddalonej o trzy kroki fontanny i w jej wodzie zanurzył głowę waryata; ten rzucał się, harczał, a potem stracił przytomność. Wyciągnął go i rzucił bezwładnego na ziemię.

Teraz do pani Morailles!

Powrócił szybko na korytarz, lecz nie zalazł jej. Co się z nią stało? Jakże mogła zniknąć? Nagle potknął się o mały trzewik. Markiza leżała omdlała za drzwiami.

Pobiegł do fontanny, zmaczał chustkę, którą zdołał ocucić panią Morailles.

— Chodźmy, rzekł, niech pani oprze się na mnie.

Chwiejąc się z osłabienia, poszła naprzód.

Gdyby mieli drabinę, łatwo mogliby przejść przez ogrodzenie, nigdzie jednak nie spostrzegł jej. Pozostawała jeszcze jedna nadzieja: uciekać z drugiego końca zakładu, który miał również wyjście na ulicę, ale strzegł go inny stróż. Należało więc zacząć nową walkę, nie było jednak innego sposobu! Poprzedzając panią Morailles, która drżała jak liść, Cockley posuwał się razem z nią. Przeszli koło zabudowań kuchennych, potem przez ciemny korytarzyk do pokoju stróża. Niestety, nie było go tam. Łóżko stało rozebrane. Cockley podbiegł do wyjścia, było jednak zamknięte; inaczej być nie mogło.

Zaklął ze złości bez względu na obecność kobiety.

— Niech pan popatrzy — rzekła naraz przestraszona pani Morailles, która przez okno spoglądała na park.

Szedł ktoś z latarnią.

— Groot! szepnął Cockley zdumiony, pośpieszył się. Spuści psy...

Latarnia zatrzymała się przy fontannie i czarny cień pochylił się nad Huchssettsem.

— To nie Groot; ten jest większy od niego, zauważył Cockley.

Po kilku chwilach namysłu szepnął:

— To jest właśnie ten stróż. Nie spuścił psów. Znalazł teraz...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tragiczny zgon profesora.

Sezon kąpieli w rzekach i stawach, jest też sezonem tragicznych wypadków śmierci, spowodowanych nieostrożnością kąpiących się, bądź też bra-



Tragiczny zgon profesora: Ś. p. dr. Leon Cieplik.

kiem nadzoru ze strony powołanych do tego czynników, albo nawet ich karygodnego niedbalstwa.

Ofiarą takiego właśnie niedbalstwa ze strony zarządu wojskowej pływalni w stawie Pełczyńskim we Lwowie padł przed paru dniami dr. Leon Cieplik, profesor gimnazyum w Nowym Sączu. Przybył on z pewnym znajomym do kąpieli w tym stawie i podczas pływania dostał kurczu w nodze, skutkiem czego zaczął tonąć. Towarzysz spostrzegł to i pospieszył mu z pomocą, ponieważ jednak tonący profesor chwycił go zbyt gwałtownie za rękę, sam stracił równowagę i znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacyi.

Na krzyk tonących wybiegli z pływalni wojskowej żołnierze i pospieszyli z pomocą. Udało im się uratować tylko jednego, dr. Cieplik zaś poszedł na dno i dopiero w dwie godziny później dobyto jego zwłoki.

Ci, którzy byli świadkami tego niesłychanie tragicznego wypadku, twierdzą, że akcya ratunkowa żołnierzy z pływalni wojskowej była bardzo opieszała. Nikt z żołnierzy-pływaków nie udał się na dno stawu w poszukiwaniu utopionego, lecz szukano go zapomocą haków. Nic dziwnego też, że wydobyto go dopiero w dwie godziny po wypadku. Jaskrawy był też brak lekarskiej pomocy, która zjawiła się dopiero w pół godziny po dobyciu zwłok.

Zgon młodego, utalentowanego profesora wywołał ogólne współczucie, zwłaszcza że zaszedł wśród tak tragicznych okoliczności.

Młodzi ogrodnicy w Gorlicach.

Praca młodych sił nauczycielskich w szkołach średnich około moralnego i fizycznego wychowania młodzieży staje się z każdym rokiem wydatniejszą i praktyczniejszą. Dowodzą tego pozakładane w ostatnich czasach w gimnazyach czytelnie, orkiestry, warstaty studenckie, kasy oszczędności itp.

Gimnazyum w Gorlicach wprowadziło nadto z inicyatywy prof. Sikory ogromnie korzystną i pouczającą rozrywkę, a mianowicie ogrodnictwo. Celem tej nauki jest nietylko odciągnięcie młodzieży od zabaw niemoralnych, lecz przedewszystkiem zużytkowanie jej zapału dla dobra kraju i dobra własnego. Ogrodnictwo, jako praca na świeżem powietrzu, rozwinie ich siły fizyczne, nauczy praktycznego zużytkowania nauki botaniki, nauczy cenić pracę fizyczną i zachęci do niej.



Młodzi ogrodnicy w Gorlicach: Grono uczniów gimnazyum gorlickiego przy pracy ogrodniczej w doświadczalni pomologicznej pod kierunkiem prof. Sikory.

W ciągu b. r. odbyły się w gimnazyum w Gorlicach dwa kursy ogrodnictwa, teoretyczne i praktyczne, a to w zakresie hodowli drzew owocowych, ich uszlachetniania, prowadzenia wzorowych sadów, leczenia chorób drzew itd.

Bardzo ważnym czynnikiem pomocniczym w tej nauce, jest stała doświadczalnia pomologiczna, założona przez prof. Sikorę dzięki materyalnemu poparciu p. Zdzisława Konopki, powiatowego inspektora leśnictwa; doświadczalnię założyła sekcya pomologiczna grona profesorskiego, z dyr. drem W. Szczepańskim na czele, a kierownictwo powierzono prof. Sikorze.

Doświadczalnia wspomniana obejmuje 700 m^2 powierzchni, zaopatrzona jest w 600 drzewek, uszlachetnionych przez uczniów, nadto mieści jarzyny, grzybnię i szkółkę leśną, w której aklimatyzuje się drzewa szpilkowe strefy umiarkowanej wszystkich części świata. W doświadczalni wykonywują uczniowie wszystkie prace, wchodzące w zakres ogrodnictwa, a rezultaty są już dziś bardzo piękne i rokują tej gałęzi nauki piękną przyszłość.

Książę-okulista.

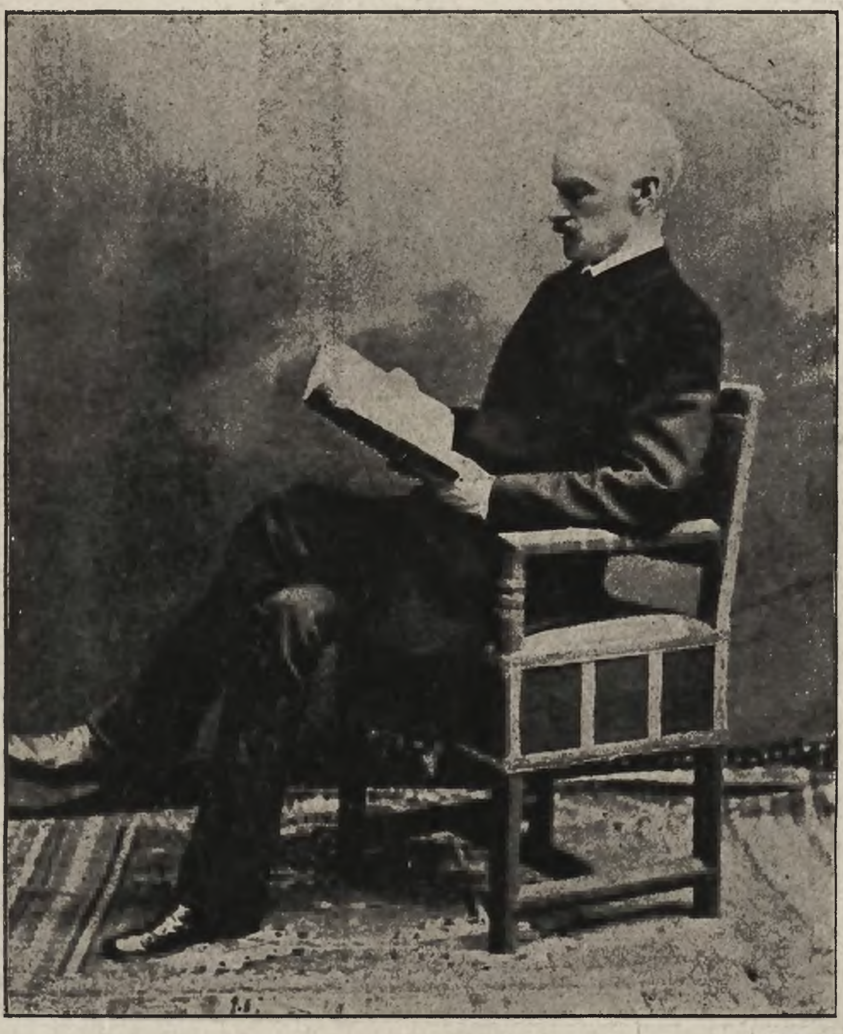
Jedną z najbardziej ciekawych osobistości wśród członków rodów panujących w Europie jest książę



Młodzi ogrodnicy w Gorlicach: Profesorowie gimnazyum w Gorlicach, członkowie sekcyi pomologicznej wraz z gronem uczniów.

dr. med. Karol Teodor bawarski, który w ubiegłym tygodniu obchodził w pełni sił fizycznych i duchowych 70-tą rocznicę swych urodzin.

Ojcem jego był ks. Maksymilian bawarski z t. zw. linii książęcej Wittelsbachów, siostrą zaś ś. p. cesarzowa Elżbieta. Początkowo ks. Karol Teodor poświęcił się karyerze wojskowej i dał się poznać, jako dzielny oficer kawaleryi. Nagle jednak, gdy liczył lat dopiero 28, porzuca tę karyerę i poświęca się nauce medycyny. Nastąpiła ta zmiana podobno pod wpływem zgonu przedwcześnie zmarłej jego pierwszej małżonki Zofii, księżniczki saskiej. Prowadząc studya w tym kierunku z wielkim zapałem i energią, otrzymuje on w r. 1872 na uniwersytecie monachijskim doktorat. Obrawszy za specyalność okulistykę, kształci się w niej pod Hornerem w Zurychu, a w Wiedniu pod Arltem.



Książę-okulista: Ks. Karol Teodor bawarski.

Oprócz tego książę Karol Teodor przez kilka półroczy zimowych słuchał w Wiedniu wykładów słynnego chirurga Billrotha, który uważał go za jednego ze swych najzdolniejszych uczniów i powierzał mu nieraz trudne operacye do wykonania.

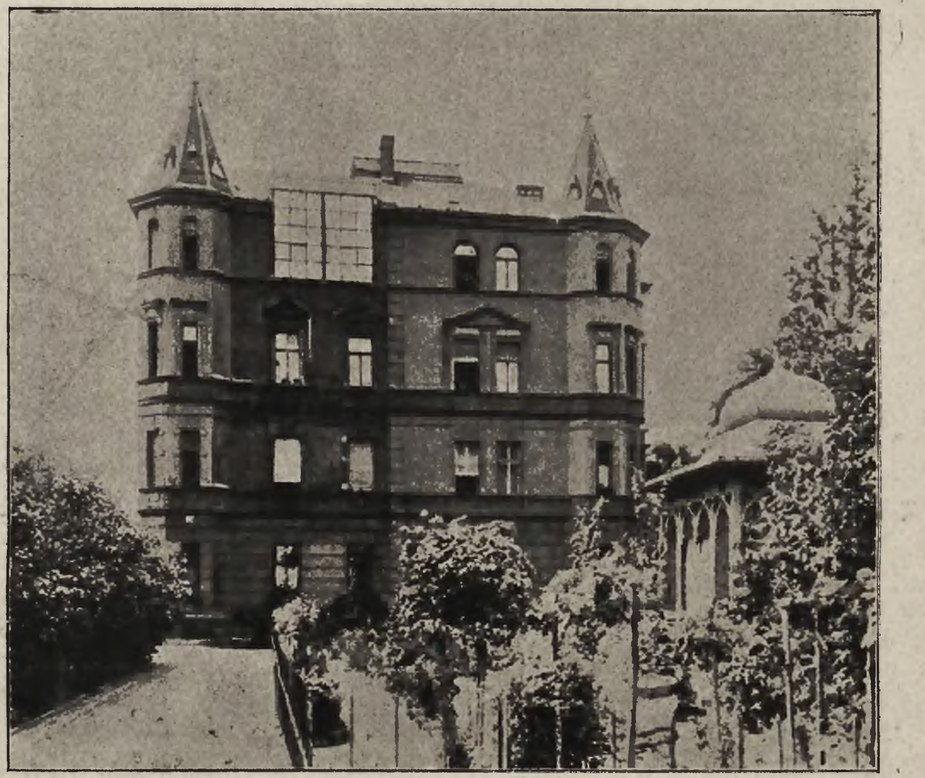
Wkrótce rozeszła się po całej Bawaryi sława księcia, jako znakomitego okulisty-praktyka. Zarówno jego zamek w Tegernsee, jak pałac w Monachium, ściągały tłumy chorych, od których oczywiście nie pobierał honoraryum, lecz którym, o ile byli prawdziwie biedni, udzielał zasiłków.

Krocząc dalej po drodze raz obranej, książę-dobroczyńca cierpiącej ludzkości zbudował dwie kliniki dla chorych na oczy: jedną w Monachium, drugą w Tegernsee. W obydwóch tych zakładach chorzy przyjmowani są bezpłatnie. Jako miara działalności księcia niech posłuży fakt, że dokonał on podczas swej praktyki 5000 operacyj zaćmy (katarakty). W obu zaś klinikach oprócz chorych klinicznych otrzymuje poradę ambulatoryjną po 4000 osób rocznie.

Dziwnym trafem znalazł książę Karol Teodor bardzo zręcznego asystenta w osobie swej drugiej małżonki, Maryi Józefy, infantki portugalskiej, która z niemniejszym, niż jej małżonek, zapałem poświęca się pielęgnowaniu chorych. Książę ma liczną rodzinę, bo dwóch synów i cztery córki, z których najmłodsza wyszła za księcia Ruprechta, przyszłego dziedzica bawarskiego tronu.

W dniu urodzin tego sympatycznego księcia i prawdziwego dobroczyńcy ludzkości, Bawarczycy prześcigali się, aby mu okazać swą wdzięczność i uznanie.

Ryciny nasze przedstawiają ks. Karola Teodora oraz obydwie jego kliniki.



Książę-okulista: Klinika okulistyczna w Monachium, zbudowana przez ks. Karola Teodora.



Książę-okulista: Klinika, zbudowana przez ks. Karola Teodora w Tegernsee.

Dziwo natury.

Każdy, wobec kogo natura okazała się zamiast matką, macochą, kto upośledzony został pod jakimś względem, dziwnym zbiegiem okoliczności cieszy się natomiast daleko większem wydoskonaleniem innych władz, czyto zmysłowych, czy umysłowych. Tak np. człowiek nawiedzony ślepotą, ma nadzwyczaj wyrobiony słuch, który po części zrównoważa mu jego kalectwo. W miarę niedowładu poszczególnych organów, wyrabiają się więc inne, które rekompensują człowiekowi braki, na jakie go jego kalectwo naraża. Jednym z pomiędzy ludzi służy to do załatwiania czynności codziennego życia, inni z kalectwa swego robią interes i popisując się publicznie, zbierają za to wcale pokaźne pieniądze. Swojego czasu oglądaliśmy w Krakowie kobietę, pozbawioną rąk, która miała tak wyrobione palce u nóg, iż z ich pomocą potrafiła używać igły, nawlekać ją i szyć.

Pomiędzy owymi artystami-kalekami, którzy produkują się w rozmaitych przedsiębiorstwach europejskich, ciągnąc zyski ze swego upośledzenia, rekord światowy uzyskał stanowczo Mikołaj W. Kobelkow, urodzony dnia 22 lipca 1851 roku. Czło-



Dziwo natury: Mikołaj W. Kobelkow, malarz bez rąk i nóg przy pracy.

wiek ten, a właściwie tylko kadłub ludzki, gdyż pozbawiony jest i rąk i nóg, występuje publicznie jako malarz, dzięki temu, iż z prawej ręki pozostał



Po rewolucyi w Barcelonie: Domy zburzone przez artylerye wojsk rządowych.

mu kikut, do którego przytwierdzają pendzel. Pendzlem tym włada nadzwyczaj wprawnie i maluje obrazy, które szczególniej między żądnymi sensacyi Amerykanami mają wielki pokup. Każdy nabywa chętnie obraz, malowany przez malarza bez rąk. W ten sposób zebrał sobie p. Kobelkow wcale pokaźny majątek, który osładza mu jego kalectwo. Dodać należy, iż jest on człowiekiem żonatym i ojcem sześciorga, zupełnie normalnie rozwiniętych dzieci.

Illustracya nasza przedstawia Mikołaja Kobelkowa przy pracy.

Po rewolucyi w Barcelonie.

Dni rewolucyjnego upojenia, dni szału anarchistycznego, dni rozpasania się najniższych instynktów ludzkich minęły w stolicy Katalonii. Teraz nastąpił tam okres reakcyi. Każda reakcya w zasadzie jest czemś bardzo zbliżonem w metodzie do rewolucyi, bo w środkach nie przebiera. Leży to już w naturze ludzkiej, że zwycięsca rzadko bardzo okazuje umiarkowanie, a szczególnie, gdy mniema, że jego stan posiadania i rzeczywiste, czy urojone prawa były zagrożone.

Reakcya, która objęła obecnie w swe posiadanie Barcelonę, jest tem straszniejszą, ponieważ Hiszpanie są z natury okrutni i mściwi. Władze więc cywilne i wojskowe, zgniótłszy rewolucyę, płacą z nawiązką wrogom porządku społecznego za to wszystko, czego się ci dopuścili w Barcelonie. W cytadeli Monjuich rewolucyonistów masowo się traci na mocy bezwzględnych wyroków sądu wojskowego, wydawanych po naradach kilkuminutowych. Podsądni nietylko że nie znają obrońców, ale nawet nie mają czasu na obronę. Najmniejszy dowód, np. skrwawiona bluza robotnicza, odór nafty, lekkie skaleczenie i t. p. wystarczają, aby sąd wojenny ferował wyrok śmierci.

Przy tego rodzaju procedurze można być pewnym, że padła już niejedna niewinna ofiara. Nie baczą na to jednak władze wojskowe i prowadzą dalej dzieło krwawej zemsty. Rzecz prosta, iż podobne postępowanie wcale się nie przyczyni do gruntownego uspokojenia Katalonii i do usunięcia ducha separatystycznego, jaki od wieków żywi ta prowincya względem reszty Hiszpanii.

Ryciny nasze podają interesujące momenty z ostatnich, pamiętnych zajść w Barcelonie. Jedna z nich dosadnie pokazuje, z jaką tam zaciętością walczono, a mianowicie ta, na której widać kompleks domów, zbombardowanych przez artylerye rządową za to, że z ich okien strzelano do wojsk królewskich. Rewolucyoniści posługiwali się rozmaitymi środkami w celu stawiania barykad, jak to widać na innej rycinie, przedstawiającej wywrócony w tym celu wóz tramwajowy. Dwie inne ryciny przedstawiają: żołnierzy, jedzących pod bronią obiad na ulicy i żandarmeryę, która rewidowała ściśle przechodniów, a szczególniej wieśniaków, przybywających do miasta, w obawie, aby nie przemycali broni.

Olbrzymi strajk w Szwecyi.

Świat cały patrzy dziś z natężoną uwagą na niezwykłą, niebywałą w dziejach walkę między kapitałem a pracą, jaka wywiązała się w Szwecyi



Po rewolucyi w Barcelonie: Żandarmi, rewidujący przechodniów na ulicach.

w ciągu ubiegłego tygodnia. Wskutek mianowicie nieporozumień między pracodawcami a robotnikami wybuchł tam generalny strajk, obejmując niemal wszystkich pracowników wszystkich gałęzi przemysłu.

Strajk niniejszy w Szwecyi jest pierwszą w dziejach walką zarobkową w tych rozmiarach, tak doskonale przygotowaną i zorganizowaną i zasługuje w całej pełni na miano i znaczenie generalnego. Z tego też powodu tak wielkie wzbudził zainteresowanie zarówno w kołach pracodawców, jak robotników, jak publiczności.

Przyczyną wybuchu generalnego strajku w Szwecyi było to, iż pracodawcy, tłómacząc się złymi stosunkami, obniżyli wynagrodzenie za pracę, a gdy robotnicy z oburzeniem chcieli odepchnąć ten zamach na swój byt i grozili strajkiem, zarządzili w kilku fabrykach lokaut, tj. przerwali pracę i robotników oddalili. Pertraktacye ugodowe, kilkakrotnie nawiązywane, rozbiły się, wobec czego wszyscy robotnicy zorganizowani przystąpili do generalnego strajku. Uprzedzeni o tem pracodawcy przygotowali się również do walki, tak że obie strony przystąpiły do zapasów w pełnym niejako rynsztunku potrzebnych ku temu środków.

Centralna organizacya szwedzkiej socyalnej demokracyi, kierującej tym strajkiem, nagromadziła w ciągu lat potężny fundusz strajkowy, który umożliwi jej wspieranie strajkujących przez czas dłuższy. Nadto liczyć może na wydatne poparcie ze



Po rewolucyi w Barcelonie: Barykada z wywróconego wozu tramwajowego.

strony socyalnej demokracyi innych państw i krajów.
Sytuacya jest więc taka, iż wyklucza zupełnie wszelkie kompromisy, a walka skończyć się musi zupełną wygraną po jednej a zupełną klęską po drugiej stronie. Pracodawcy tłómaczą się, że dalsze

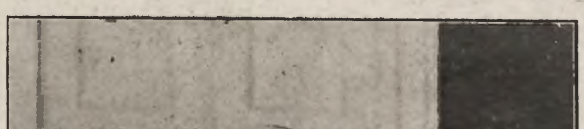


Po rewolucyi w Barcelonie: Żołnierze pod bronią, jedzący obiad na jednym z placów miasta.

ustępstwa na rzecz robotników doprowadziłyby przemysł szwedzki do ruiny, z góry też wykluczyli wszelkie pośrednictwo rządu.

Strajk tymczasem objął cały kraj i wszystkie gałęzie przemysłu. Zaprzestali więc pracy robotnicy fabryczni, dalej robotnicy w warstatach większych i mniejszych, robotnicy portowi, a także drukarze, dalej robotnicy kolejowi. Ogółem przystąpiło do strajku około 300.000 ludzi.

Najdotkliwiej odczuwa ludność strajk czeladników piekarskich, rzeźnickich i masarskich, mimo iż



Olbrzymi strajk w Szwecyi: Prezydent krajowej organizacyi robotniczej Lindquist.

zapowiedziany był od dawna i było dość czasu, aby zaopatrzyć się w artykuły spożywcze.

Oczywista rzecz, że zaciekła ta walka pracodawców i robotników odbije się bardzo dotkliwie na interesach całego kraju. Wskutek strajku załóg okrętowych i robotników portowych, ustał zupełnie ruch turystyczny i napływ obcych do Szwecyi, z którego znaczne zyski ciągnęły tysiące tamtejszych rodzin. Strajk ten sparaliżuje też na długi czas rozwój przemysłu, co oczywiście połączone będzie z ogromnymi stratami. Jak dotąd, wszelkie próby załagodzenia sporu, podejmowane przez rząd, a nawet osobiście przez króla, spełzły na niczem, strajk więc trwa dalej i pociągnąć się może jeszcze całe tygodnie.

Spokoju dotąd nie zakłócono nigdzie, a ta powaga strajku jest także wielce charakterystyczna.

Z rycin, zamieszczonych w dzisiejszym numerze, a odnoszących się do strajku w Szwecyi, jedna przedstawia tłum strajkujących robotników, zgromadzonych na jednym z placów Sztokholmu, druga żołnierzy, transportujących mleko na samochodzie, trzecia wreszcie głośnego przywódcę robotników, prezydenta organizacyi krajowej, Lindquista.



Olbrzymi strajk w Szwecyi: Dowóz mleka pod dozorem wojska.



Olbrzymi strajk w Szwecyi: Przemówienie jednego z przywódców strajkowych podczas zgromadzenia w Sztokholmie

Postępy awiatyki.

Podbój powietrza, owo marzenie techników ubiegłego stulecia, dokonywa się w naszych oczach z taką szybkością, że nawet nie zdajemy zeń sobie sprawy. Z jednej strony kierownictwo balonami zostało ostatecznie ustalonem przez praktyczne doświadczenia hr. Zeppelina, z drugiej zaś — kwestyę aeroplanów, czyli awiatyki od łacińskiego *avis* — ptak — rozstrzygnęły wyniki, osiągnięte przez braci Wrightów, Farmana, Lathama, Blériota, a wreszcie Sommera.

Wprawdzie zwolennicy balonów twierdzą, że aeroplan to tylko zabawka, jednak dopiero cały dalszy szereg prób z tym statkiem napowietrznym może wskazać kierunek, w jakim na przyszłość ma być konstruowany, aby uzyskać praktyczne zostosowanie. W każdym razie trzeba i o tem pamiętać, że nad balonem ludzie uczeni i technicy pracują już od XVIII. w., podczas gdy aeroplan jest dzieckiem bieżącego stulecia.

Dotąd Wilbur Wright osiągnął największy rekord trwania wzlotu, bo 2 g. 20 m. 23 s. i zdawało się, że nie prędko ktoś ten rekord pobije. Tymczasem udało się w ubiegłym tygodniu odnieść nad Wright'em zwycięstwo nieznanemu szerszej publiczności awiatorowi francuskiemu, M. Rogerowi Sommerowi, utrzymał się bowiem w powietrzu na aeroplanie Farmana przez 2 g. 27 m. 15 s. Za ten czas spotrzebował motor aeroplanu tylko 44 litrów benzyny. Wzlot odbywał się w Mourmelon pod Châlons.

Roger Sommer, którego portret podajemy w niniejszym numerze, liczy lat 40 i pochodzi z Ardennoz. Z zawodu jest fabrykantem pilśni, oddawna z zamiłowaniem oddawał się sportom wszelkiego rodzaju, awiatyką zaś zajmuje się dopiero od roku, nabywszy od Farmana jeden z jego aeroplanów. Sommer ma zamiar zbudować motor o większej sile i wtedy spodziewa się pobić swój własny rekord, który — rzecz prosta — będą starali się pobić także inni awiatorzy.

G. DE TERAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

11 (Ciąg dalszy).

— Znam tylko jednego — mówił inspektor — kto potrafiłby to uczynić, jest to ten sam człowiek, który na ulicy Hauteville zastrzelił z omnibusu spłoszonego konia.

Wspomnienie to przypomniało mu opowiadanie amerykańskiego detektywa o pasażerze ze „Starego Czarnego Psa".

— On żyje, to prawda... lecz czyż to racya, by przypuszczać, że on jest sprawcą tego zabójstwa?... Zresztą dowiedziałem się już o wszystkich tam obecnych, że są to ludzie powszechnie znani... pewny jestem, że nie było go między nimi...

Tymczasem gdy przenoszono zwłoki kapitana z restauracyi, w której znalazł śmierć, do karetki pogotowia lekarskiego, wypadł mu z kieszeni niepostrzeżenie portfel. W kilka chwil potem znalazł go posługacz, który jednak spieszył się do domu i dopiero na drugi dzień odniósł go do najbliższego biura policyi. Tegoż wieczoru dyrektor policyi przeglądał jego zawartość w obecności inspektora Lapipa. Między papierami bez żadnego znaczenia, jeden list zwrócił ich uwagę. Był on pisany fioletowym atramentem na gładkim, przeźroczystym papierze. Zaraz go przeczytali:

„Kapitanie!

Proszę porzucić swój niewykonalny projekt. Osoba, która już raz przyszła z pomocą uczciwej dziewczynie, zdoła ją ochronić przed pańskiemi wstrętnemi machinacyami. Życiem swem zapłaci pan za swe naleganie, które dla niej jest zniewagą".

Zamiast podpisu była data: 27 lutego 1907 r.

— List ten był pisany w przeddzień tego fatalnego obiadu, prawda, panie Lapipe? I oto mamy wytłomaczenie całej tajemnicy!... Szukaj kobiety; znowu sprawdził się ten odwieczny aksyomat, że we wszystkich sprawach *cherchez la femme!...*

Lapipe nie podzielał tego entuzyazmu, lecz potrząsając głową, odrzekł:

— Tak, Żaneta Levasseur? Pan dyrektor sądzi zatem, że tę biedną hafciarkę proteguje ktoś możny?... Według mnie byłoby to bardzo dziwne... Że zamiar poślubienia pierwszej spotkanej blondynki mógł się zrodzić w głowie pijaka... że los ten padł na Żanetę Levasseur, to możliwe... nie należy jednak iść dalej po tej drodze... nie, tysiąc razy nie...

Tymczasem dyrektor, nie odpowiadając inspektorowi, przeglądał leżący przed nim na biurku plik papierów.

— Oto raport o niej komisarza policyi... hafciarka, pracująca u siebie... dobra opinia w dzielnicy... uchodzi za uczciwą, poważną i pracowitą... zajmuje mały lokal za trzysta franków rocznie... płaci regularnie... nie przyjmuje nikogo... wróciła raz z banknotem pięćsetfrankowym, który dał jej na bulwarze jakiś szlachetny nieznajomy...

Lapipe przy tych słowach aż podskoczył.

— Och! Tego już za wiele!...

Dyrektor nie zrozumiał znaczenia tych słów i uśmiechając się, rzekł:

— Historya ta rzeczywiście wydaje się nieprawdopodobną!...

— Przepraszam — przerwał inspektor — jest prawdziwą... byłem jej świadkiem...

Podniósł się blady i drżąc, poruszał nerwowo rękami.

— Co panu się stało? — zapytał zaniepokojony dyrektor.

— To on! — szeptał Lapipe. — To jeszcze on!... Jestem tego pewny...

— Kto on?...

— Pasażer ze „Starego Czarnego Psa"... szlachetny przechodzień... gość z hotelu „Księcia Portugalskiego"... mandaryn... zabójca hr. Fraskopelly... jest to jedna jedyna osoba, której od roku już poszukuję daremnie, a która drwi sobie z policyi, a mnie wyprowadza w pole...

— Panie Lapipe, co to ma znaczyć?... Nic nie rozumiem!

Lecz inspektor jakby nie słyszał tego i mówił dalej:

— To zdanie, „która już raz przyszła na pomoc", wyjaśnia wszystko... to jest oczywisty dowód... niezwalczony... on jeden tylko strzela tak celnie!... Zabił kapitana, jak zabił szczura hotelowego... jak zabił konia spłoszonego... Człowiek ten nie cofa się przed niczem!...

— Niech pan się uspokoi, panie Lapipe...

Nie zważając na dyrektora i nie słuchając go, wyjął szybko z portfelu kawałek papieru, podniesiony z podłogi w pokoju na szóstem piętrze na placu Malesherbes i porównywał go długo z listem do kapitana.

Nagle z błędnemi oczami i konwulsyjnie zaciśniętemi wargami, krzyknął:

— Ten sam papier!... Ten sam atrament... ten sam charakter cyfr... bilet omnibusowy A. K. 756, znaleziony tam przez Newtona, jest niezbitym dowodem tego, co twierdzę. To jeszcze on!... Ciągle on!... On zabił również bankiera Korpfstraussa...

Dyrektor jednak, który od kilku chwil śledził z przestrachem gwałtowne ruchy inspektora i zmianę na twarzy i w błędnych oczach, nacisnął guzik dzwonka elektrycznego.

Jak tylko ukazał się służący, zawołał:

— Prędko!... Prędko!... Doktora... telefonować... Pan Lapipe dostał ataku...

XII.

Przygoda Żanety.

— Jakto, panna Żaneta już wstała?

Na progu swego mieszkania stara stróżka, oparta na miotle, patrzyła zdziwiona, że jej młoda lokatorka wstała tak wcześnie, by iść, jak codziennie, po mleko do sąsiedniej mleczarni.

— Tak, pani Bourju; dlaczegobym miała nie wstać?

— Przecież po wczorajszym rozgardyaszu!...

— Przez noc uspokoiłam się już zupełnie, jak pani widzi...

— Och! Moja złota panienko, nie tak wyglądała pani wczoraj o północy, gdy panią wniesiono omdlałą... bladą jak papier... w powalanem ubraniu... mnie samą aż zaparło... Co za awantura, ktoby to pomyślał?...

Mówiąc to, stróżka zapraszała Żanetę do siebie:

— Niech pani opowie choć troszkę, jak to się stało, mój złoty aniołku.. Nie śmiałam wczoraj pytać, kiedy pani była bez duszy... ale bardzo chciałam... a przytem ten zbawca nie dał mi żadnego szczegółu, tak się spieszył... Na panią więc napadli włóczęgi?...

Żaneta zrozumiała, że nie uwolni się od stróżki, dopóki nie zaspokoi jej ciekawości. Zrezygnowana siadła na krześle, które podsunęła jej skwapliwie staruszka i zaczęła:

— Tak naprawdę było, pani Bourju... Pani wie, że miałam wczoraj wieczorem odnieść haftowaną suknię wicehrabinie Neyste... trzeba było zrobić kilka krawieckich poprawek prędko, bo tej sukni potrzebowała na bal... miałam wrócić wcześnie, ale wicehrabina prosiła, bym zobaczyła, jak ta suknia na niej wygląda i przez to wyszłam od niej dopiero po jedenastej... Wszędzie było pusto... ale nie bałam się... i szłam jak najspokojniej, gdy niedaleko stąd...

— Ulica tak kiepsko oświetlona! — użaliła się stróżka, zażywając sporą dozę tabaki. — Nie potrzeba się skarżyć, ale rząd nie bardzo rozczula się nad naszą dzielnicą!...

— Trzech włóczęgów wyskoczyło nagle z dorożki, w której musieli się ukrywać i rzucili się na mnie...

— Chryste Panie!

— Zawołałam na pomoc... wyrywałam się... chciałam uciekać... ale napróżno... Jeden trzymał mnie za ręce... drugi zawiązywał usta chustką...

— A trzeci?

— Powiedział: Doskonale, lecę po samochód!...

— Boże święty!

— W chwili tej, gdy już bez sił, na pół uduszona omdlewałam, jakiś mężczyzna, który usłyszał zapewne mój krzyk, rzucił się na apaszów...

— Dzielny człowiek! — szepnęła stróżka, która wchłaniała w siebie poprostu słowa młodej dziewczyny — i cóż?

— Wtedy, w krótszym czasie, niż można to pani Bourju opowiedzieć, wszyscy trzej opryszki leżeli już na ziemi, ale zaraz zerwali się i zaczęli na gwałt uciekać... to wzruszenie tak mnie osłabiło, iż mój zbawca musiał mnie przynieść aż do pani, gdzie dopiero przy pomocy pani przyszłam do siebie...

— Ale — zapytała staruszka, której uwagi nie uszedł żaden szczegół — skąd ten mężczyzna znał pani adres?

— Widocznie musiałam mu to powiedzieć, nie zwracając na to uwagi... W każdym razie był to ktoś z tej dzielnicy!... Żałuję tylko, że tak prędko odszedł, nie czekając, abym mogła mu podziękować...

— Och! O to niech pani się nie troszczy... Przyjdzie dowiedzieć się o pani zdrowie... nie dzisiaj, gdyż pracuje do późna w swym magazynie, jak powiedział... ale jutro z pewnością!...

Żaneta jednak powstała już i zamierzała wyjść.

— Niech pani go poprosi — dodała jeszcze — by zaszedł do mnie, muszę mu podziękować osobiście. Przecież to jemu winnam swe ocalenie.

— Nie zapomnę powiedzieć, panno Żanetko!...

I młoda dziewczyna była już daleko, gdy stara stróżka, zamiatając sień, jeszcze rozmawiała z sobą w braku innej słuchaczki.

— Piękny mężczyzna, moja droga!... Miał pański wygląd i wielkie niebieskie oczy!... Zupełnie jak w romansie... Ach! Gdybym była młoda, jakbym chciała, by mnie ocalił taki piękny mężczyzna...

Żanetka wróciła już do swego pokoiku z mlekiem, a monolog stróżki ciągnął się nieprzerwanie... Pilnując, by śniadanie, które gotowała sobie na spirytusowej maszynce, nie wykipiało, młoda hafciarka rozmyślała o wypadkach, które od ośmiu dni naruszają jej zwykły spokój. Po spotkaniu z hrabią Fraskopelly i Ottonem de Schlakemburg na rogu ulicy Enghien, poszła dalej swoją drogą, odniosła robotę i wracała na Menilmontant, nie przypuszczając nawet, że jest śledzona ciągle przez dwóch przyjaciół. Zwolna uspokoiła się z gniewu, że śmiano ją zaczepić na ulicy i nawet bawiła ją ta propozycya nieznajomego, który rzucił jej w oczy swe oświadczyny, jakby się założył z kim, że z niej zadrwi. Na drugi dzień rano wstała wcześnie w dobrym humorze i jak zwykle zaczęła przed pracą czyścić klatkę swego kanarka, prowadząc z nim rozmowę:

— Prawda, Fifi, że serce Żanetki nie jest do sprzedania?... Twoja młoda pani poślubi tylko tego, kogo naprawdę pokocha.

— Świr!... Świr!... — zaświergotał kanarek, trzepocąc skrzydełkami.

Młoda dziewczyna, jakby była pewna, że ptak ją rozumie, mówiła dalej:

— Tak, mój drogi, ten młody jegomość może być nie wiem jakim hrabią... kapitanem nie wiem jakiego pułku... może być ubrany jak żurnal... i być najładniejszym... nawet z pierścionkiem na palcu, ale on nie będzie miał panny Żanetki... panna Żanetka bardzo poważnie zapatruje się na małżeństwo... I cóż ty na to, Fifi?... Świr... świr... to nie jest odpowiedź, mój przyjacielu... ale ja wiem, co ty myślisz!...

Zawiesiła klatkę przy oknie i dokończyła zdania:

— Ty myślisz, że jeszcze długo pozostaniemy w tym małym pokoiku, ale przez to nie będziemy nieszczęśliwsi, prawda Fifi?... Zarabiamy na życie i nie potrzebujemy się skarżyć.

Po tej rozmowie zaczęła podlewać kwiatki na oknie, lecz jeszcze nie skończyła tego zajęcia, gdy zapukano do drzwi. Pobiegła otworzyć je i stanęła jak przybita na miejscu, widząc na progu tego samego młodego człowieka, który ją poprzedniego dnia zaczepił na ulicy.

— To pan? — zawołała. — Kto panu pozwolił ścigać mnie aż do domu?...

Kapitan Fraskopelly skłonił się z elegancyą, która go ani na chwilę nie opuszczała.

— Pozwoli mi pani naprzód przeprosić ją za niezwykły sposób, w jaki wczoraj ośmieliłem się zaczepić.

— Jest to zupełnie zbyteczne!

Kapitan jednak zdołał wejść do środka, zanim zdziwiona Żanetka zdołała temu przeszkodzić i mówił dalej:

— Owszem... tak... Pani zapewne uważała mnie za waryata, lecz przysięgam, że nikt nie myśli poważniej odemnie... Na dowód może służyć to, że jeżeli przybyłem tutaj z samego rana, to tylko dlatego, by ponowić swą prośbę, którą miałem zaszczyt złożyć pani wczoraj.

— Nie znam przyczyn — odrzekła poważnie Żanetka — które upoważniają pana do zwracania się do mnie z podobną propozycyą. Nie wiem, kim pan jest. Nie chcę nawet wiedzieć tego. To tylko mogę powiedzieć panu, że daremnie traci pan czas.

— Ale dlaczego? — zapytał Fraskopelly — spotyka mnie ta niewytłomaczona odmowa?

A gdy ona milczała, dodał:

— Dlaczego? — nalegał — błagam panią... dlaczego?

Żanetka spojrzała mu prosto w oczy.

— Ponieważ jestem uczciwą i nie na sprzedaż. Teraz — wskazała mu drzwi — proszę pana wyjść stąd. Wchodząc do mnie, kompromituje mnie pan tylko. Nasza rozmowa trwała już dostatecznie długo, by pan zdążył poznać moje myśli o sobie.

— To nie jest jednak ostatnie pani słowo? — zapytał trwożnie kapitan.

— Ostatnie, panie!

Twarz oficera zmarszczyła się, wąsy poruszyły się niespokojnie, a ręce zadrgały ze źle ukrywanego gniewu. Rzucił jej wreszcie słowa:

— Dobrze... wiem, co mi pozostaje uczynić, nie można lekceważyć kapitana Fraskopelly... mojego słowa szlacheckiego, że dobrowolnie czy z musu będzie pani moją żoną!...

Ukłonił się przytem nisko i wyszedł.

Żanetka, nie wiedząc nic o zakładzie, którego stała się ofiarą, upór tego młodego człowieka, tak dystyngowanego i miłego, kładła na karb pomięszania zmysłów, inaczej bowiem nie mogła sobie wytłomaczyć jego oświadczyn. Czytała nieraz w dziennikach o różnych objawach obłąkania, gdy ludzie prości uznają się za monarchów lub Chrystusa, przypuszczała więc, że i ten nieznajomy dotknięty jest podobną chorobą. I raczej żałowała go, niż żaliła się na niego. Teraz jednak, przypominając sobie groźby, jakiemi ją pożegnał przed kilku dniami, przyszła do przekonania, że są one w związku z wczorajszym napadem. Mniemanie to potwierdziło i kilka szczegółów, na które początkowo nie zwróciła uwagi. Przedewszystkiem bandyci, którzy na nią napadli, starali się raczej ubezwładnić ją, by nie uciekła, niż ograbić z portmonetki i biżuteryi, którą miała na sobie. Prawdziwi apasze zaczęliby od okradzenia jej. Przytem ta trzecia osoba, która uprzedziła swych kolegów, że biegnie po samochód, wskazuje na to, iż tam ktoś inny czekał na rezultat tego napadu.

Można więc było przypuszczać, że to kapitan próbował porwać ją, by potem zniewolić ją w sposób, jakiego nie śmiała nawet określić. Mimo tego niepowodzenia, zapewne nie zaniecha swego zamiaru. Musi więc mieć się na ostrożności. Perspektywa taka przestraszała ją. Nigdy jeszcze nie czuła się tak opuszczoną, nigdy jeszcze nie dał się jej tak odczuć brak opieki. Kto będzie nad nią czuwał? Kto ją obroni? I mimowoli łzy zamgliły jej oczy, że jest tak samotna, że niema komu powierzyć swych smutków.

Na drugi dzień koło ósmej wieczorem zapukał do drzwi nieznajomy, który ją ocalił. Był to piękny mężczyzna, o szczerej i sympatycznej twarzy, ubrany skromnie lecz czysto. Skłonił się z prostotą i zapytał Żanetkę, jak się czuje po wczorajszym przestrachu.

Odpowiedziała cokolwiek wzruszona:

— Nigdy nie zapomnę, z jaką odwagą wyrwał mnie pan z narażeniem własnego życia z rąk tych bandytów.

— Nie bałem się wcale — odpowiedział — uprawiam sporty, znam się na boksowaniu, *dżiu-dżitsu* i innych jeszcze sposobach obrony...

— Pan jest bardzo dzielny!

— Och! Wielkie słowo za mały czyn przyjścia z pomocą bliźniemu w niebezpieczeństwie.

Na zaproszenie Żanety siadł, a ponieważ poprosił ją w bardzo miły sposób o opowiedzenie dziejów swego życia, młoda dziewczyna nie wzdragała się wcale.

Ojciec jej po opuszczeniu Tulonu przeniósł się do Paryża, gdzie wkrótce umarł. Litościwi sąsiedzi przygarnęli sierotę, która miała wtedy dopiero siedm lat. Zacni ci małżonkowie uważali ją za swoje dziecko; żona nauczyła ją szyć i haftować, mąż zaś, który był buchalterem, zaznajomił ją z czytaniem i pisaniem. Lecz i oni byli starzy i równie wkrótce umarli. Wtedy zaczęła się dla niej ciężka walka o chleb codzienny. Dzięki swej energii, woli i wytrzymałości, zdołała jednak po wielu ciężkich próbach dokonać tego, co jest dzisiaj prawie niepodobieństwem: żyć z swej pracy i pozostać uczciwą. Obecnie może już śmiało patrzeć przed siebie; wyrobiła sobie taką klientelę, że już jej chleba nie zabraknie.

Paweł de Vareilles — on to był bowiem — słuchał Żanetki z coraz większem zaciekawieniem. Znalazł się wreszcie wobec córki człowieka, który go ocalił i teraz zachwycony jej wdziękiem, odwagą do życia i pracowitością, czuł jak serce jego napełnia się radością, której nawet nie starał się ukryć.

— A czy perspektywa — zapytał — ciągłej pracy nie przestrasza pani?...

— Och! — odparła z uśmiechem młoda dziewczyna — może nie całe życie będę musiała dłubać igłą!... Ojciec mój, polecając mnie na łożu śmierci tym dobrym ludziom, powiedział im, że jeden człowiek, któremu oddał pewną usługę, zajmie się mną i zabezpieczy mi przyszłość... Nikt jednak — dodała żartobliwie — nie zjawił się jeszcze... pewnie zapomniał o mnie...

Paweł de Vareilles podniósł się cały blady.

— Co panu się stało? — zaniepokoiła się Żanetka, nie przypuszczając nawet, jaki mu ból serdeczny sprawiła tem oskarżeniem o niewdzięczność.

Zapanował jednak zaraz nad sobą. Nie czas jeszcze na zwierzenia. Zanim jej wyzna, kim jest ten nieznajomy, o którego wdzięczności zwątpiła, chciał przedtem odkryć jej swe szczere i głębokie uczucie i błagać o jedno słowo nadziei dla marzenia, jakie w jego sercu wzbudziła.

Owładnąwszy sobą zupełnie, odpowiedział:

— Nic... przemijający ból... już przeszedł...

By przerwać milczenie, jakie między nimi potem zapanowało, Żanetka zapytała:

— A pan nic mi nie powie o sobie?



— Nie bałem się wcale — odpowiedział.

W chwili tej jednak otworzyły się nagle drzwi i ukazał się w nich inspektor Lapipe, mówiąc ironicznie:

— I ja także chciałbym coś wiedzieć o panu!

Przeświadczony, mimo przeciwnego zdania swego szefa, że zabójstwo hrabiego Fraskopelly należy zapisać na konto tajemniczego nieznajomego, którego nadaremnie poszukuje, inspektor postanowił wybadać młodą dziewczynę i zmusić ją zręcznie do wyznania wszystkiego. Okoliczności tak się złożyły tym razem pomyślnie dla niego, że szedł po schodach za mężczyzną, który się do niej udawał. Lapipe natychmiast przyłożył ucho do dziurki od klucza i to, co usłyszał, bardzo go zainteresowało: teraz wreszcie wszedł na dobrą drogę. Lecz w chwili, gdy drżąc z niecierpliwości, miał się wreszcie dowiedzieć, kim jest ten człowiek, w sieni rozległy się czyjeś kroki. Powracali lokatorowie. Dać się złapać na podsłuchiwaniu pod drzwiami, było to samo, co narażać się na konieczne tłomaczenia... rozbudzać wrodzoną niższym sferom niechęć i antypatyę do policyi... wywoływać skandal... Zdecydował się więc zaryzykować i otrzymać odwagą to, co chciał zdobyć podstępem. Wszedł tedy nagle do pokoju Żanetki i zadał to pytanie jej gościowi.

Obydwaj mężczyźni zmierzyli się wzrokiem. Lapipe, widząc te jasne, niebieskie i ostre jak stal oczy, stracił ostatnie wątpliwości. Tak, miał teraz przed sobą tajemniczego nieznajomego.

— Tym razem — zawołał tryumfalnym tonem — już mi nie umkniesz!...

— A to co! — odparł dumnie Paweł de Vareilles — cóż to znaczy ten ton, w którym pan do mnie przemawia?... Za kogo mnie pan uważa?...

— Za ostatniego nędznika, którego oddawna już poszukuję... nie zawsze jednak, mój zuchu, można wymykać się z rąk policyi!...

— Czy nie zechce mi pan pozwolić, bym dał kilka wyjaśnień?

— Żadnych wyjaśnień od takiego łotra...

— Niech pan zważa na swe słowa, panie Lapipe — ostrzegł go były porucznik — staje się pan odpowiedzialnym za wszystko, co może się zdarzyć!...

— Co? Groźby teraz?

— Tylko przywołanie do grzeczności...

Lapipe zrozumiał, że dalsza rozmowa będzie tylko stratą czasu, rzucił się więc na nieznajomego, by założyć mu kajdany, ten jednak szybko odskoczył w bok. Inspektor powtórzył próbę, lecz wtedy nieznajomy schwycił z niezwykłą siłą Lapipa za kołnierz, podniósł go jak piórko, jedną ręką otworzył okno, a drugą potrząsł swą ofiarą i puścił ją w próżnię.

Młoda dziewczyna patrzyła na tę scenę zmieszana, oczami pełnemi przerażenia i drżąc na całem ciele, nie mogła sobą owładnąć.

— Och, panie — zawołała — coś pan zrobił?

Zbawca jej roześmiał się i ze spokojem, który w tych warunkach wydawał się straszny, odpowiedział:

— Pozbyłem się tylko tego natręta... Proszę się niczego nie obawiać... by nie szkodzić pani — usuwam się... niech pani tylko pamięta, że jest ktoś, kto nad panią już czuwa... i czuwać będzie zawsze...

I zanim zdołała odezwać się lub uczynić ruch, by go zatrzymać, on otworzył drzwi i znikł. Podbiegła wtedy do okna i przechylając się, chciała przeniknąć ciemności wieczorne, lecz nie ujrzała nic, ulica była cicha i pusta. Odwracając się, ujrzała na progu pokoju śmiejącego się Lapipa:

— Tak!... Tak!... I w zbrodniarskiem rzemiośle nie można zawsze o wszystkiem pamiętać!...

Żanetka, wstrząśnięta, przestrachem szepnęła:

— Pan!... Pan tutaj?...

Inspektor nie raczył tracić czasu, by jej wytłomaczyć, że wyrzucony przez okno upadł na markizę, zawieszoną nad werandą kawiarni, po której zsunął się bez uszczerbku na trotuar, że potem zawołał dwóch przechodzących w pobliżu agentów, z których jednego postawił na straży przed mieszkaniem, drugiego zaś posłał po najbliższy posterunek policyjny i że wreszcie pospieszył z powrotem do Żanetki, by zatrzymać nieznajomego, zanimby on miał czas uciec.

Zapytał się młodej dziewczyny:

— Gdzie się ukrył pani towarzysz?

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedziała Żanetka, więcej martwa, niż żywa.

Jednym rzutem oka inspektor upewnił się, że w pokoju niema nikogo.

— To możliwe! — rzekł — nie daleko on jednak jest!... Radzę pani — dodał surowo — mówić całą prawdę, gdyż inaczej będzie to panią drogo kosztowało!... Proszę więc odpowiadać; jak on się nazywa?

— Nie wiem...

— Czem się zajmuje?

— I tego nie wiem...

— Jednem słowem pani go nie zna?

— Nie, proszę pana...

W tej chwili z korytarza doleciał brzęk szabel i tupot nóg, szybko biegnących policyantów.

Lapipe wydał rozkaz:

— Rewidować cały dom... nie mógł stąd umknąć!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sokolstwo górnośląskie w Jaworznie.

Bardzo sympatyczna uroczystość odbyła się ubiegłej niedzieli w Jaworznie, na pograniczu galicyjsko-śląskiem. W dniu tym odbył się zlot sokolego okręgu górnośląskiego, połączony z poświęceniem sztandaru gniazda jaworznickiego.

Sokół w Jaworznie należy do gniazd najruchliwszych w zachodniej Galicyi i pojmujących bardzo poważnie ideę sokolą. O zasobności gniazda świadczy piękny, stylowy gmach własny z wspaniałą salą gimnastyczną. Mnóstwo przyrządów gimnastycznych, ich praktyczność i doskanałość dowodzą znowu, że w Sokole jaworznickim myśli się na seryo o krzepieniu ciała, w myśl hasła „w zdrowem ciele zdrowy duch".

To też i uroczystość niedzielna, która składała się z dwóch części, wypadła wspaniale. Pierwszą część stanowiło domowe niejako święto Sokoła jaworznickiego, a mianowicie poświęcenie własnego sztandaru, drugą zaś zlot sokolstwa górnośląskiego.

Prócz sympatycznych gości z pod zaboru pruskiego, przybyło do Jaworzna bardzo wielu Sokołów z Krakowa i innych miast, leżących w tej okolicy. Od wczesnego też ranka panował w miasteczku bardzo ożywiony i uroczysty nastrój.

O godzinie 5 rano zbudziła mieszkańców miasta pobudka, odegrana przez orkiestrę sokolą. Następnie podążyli członkowie gniazda jaworznickiego i mnóstwo publiczności miejscowej na dworzec kolejowy, celem powitania i przyjęcia gości z Krakowa i okolicy. Po skromnem wspólnem śniadaniu, pomaszerowano w ordynku do kościoła parafialnego, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo, po którem duchowieństwo miejscowe dokonało aktu poświęcenia sztandaru sokolego.

Z kościoła podążono na boisko sokole, gdzie przy skromnie zastawionych stołach spożyto obiad polowy. Szereg pięknych, podniosłych i patryotycznych mów i toastów, spotęgował serdeczny a poważny nastrój całej uroczystości.

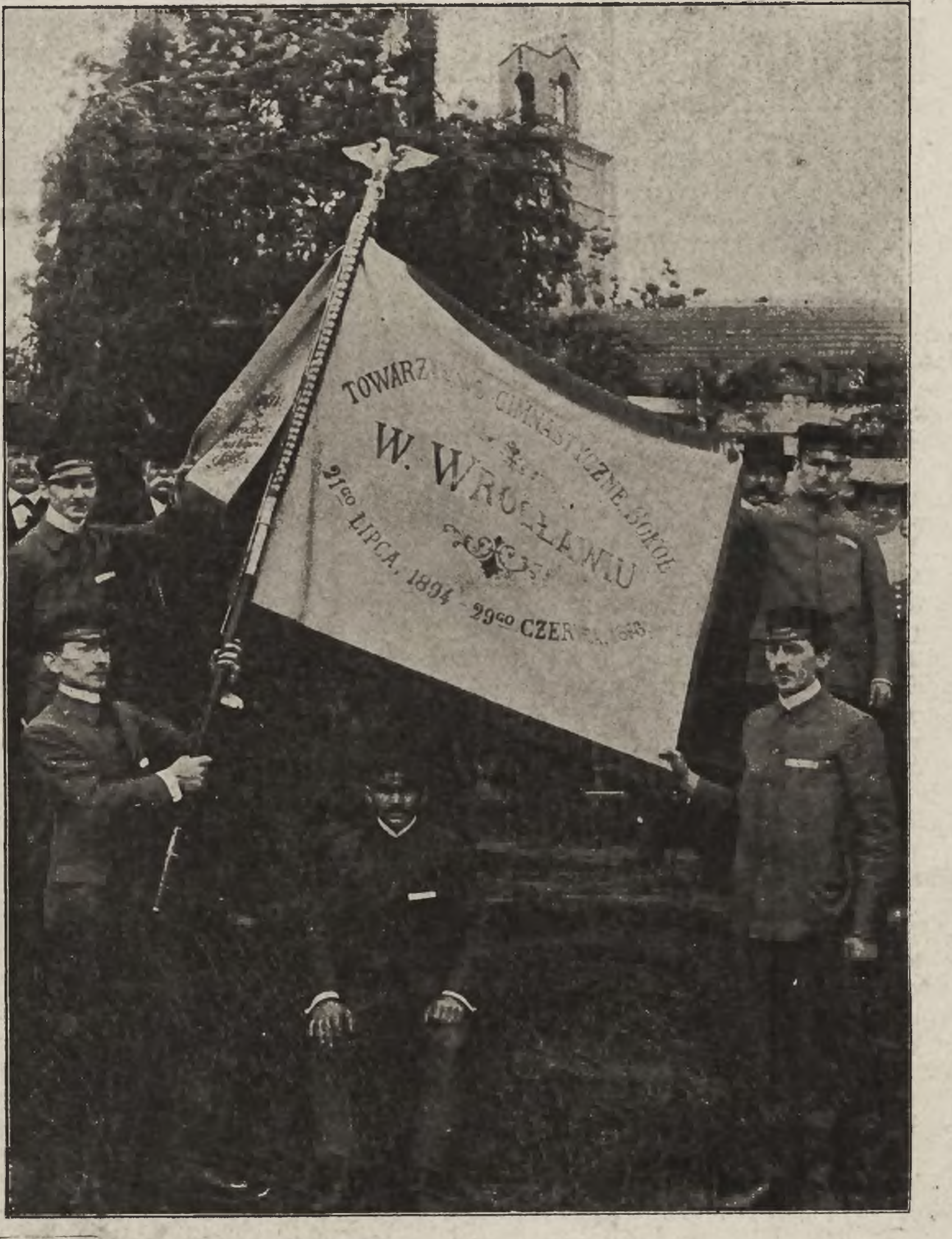
Zaraz po obiedzie pomaszerowano znów na dworzec kolejowy, popołudniu bowiem przybyć miała drużyna Sokołów górnośląskich. Powitano ich jeszcze serdeczniej i uroczyściej, poczem udano się w pochodzie przez miasto na boisko koło sokolni.

Dziarska drużyna sokolstwa górnośląskiego, z wspaniałym sztandarem na czele, była przedmiotem bardzo serdecznych i gorących owacyi, zarówno w czasie pochodu przez miasto, jak następnie podczas pięknego festynu.

Najpiękniejszym punktem programu tego festynu, urządzonego na boisku sokolem, były nadzwyczajnie udałe ćwiczenia i popisy gimnastyczne, które też ogólnie się podobały, wywołując formalne burze oklasków wśród rozentuzyazmowanej publiczności.

Na zakończenie odbyła się ochocza zabawa taneczna w głównej sali „Sokoła" jaworznickiego. Trwała ona do białego rana, a byłaby trwała jeszcze dłużej, gdyby nie to, że sokolstwo zamiejscowe musiało wracać do swych siedzib.

Z żalem opuszczali goście Jaworzno, z żalem żegnali ich mieszkańcy miasta.



Sokolstwo górno-śląskie w Jaworznie: Grupa Sokołów górno-śląskich.



Sokolstwo górno-śląskie w Jaworznie: Grupa uczestników poświęcenia sztandaru w Jaworznie. Fot. E. Pierzchalski, Kraków.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Po odwiedzinach czeskich. — Wystawa w Częstochowie i udział w niej Galicyi. — Trzy jubileusze i różne z tego powodu uwagi. — Krucyata przeciw Holmesowi. — Lektura, jej złe i dobre strony. — Konferencya poselska i co z niej wynikníe. — Uciśnieni Niemcy. — Czarnogóra grozi).

Zjazd polsko-czeski w Krakowie, Częstochowie i Warszawie już się ukończył, goście porozjeżdżali się do swych siedzib, a prasa rozważa doniosłość zbratania się i snuje różowe horoskopy na przyszłość. Czy te nadzieje spełnią się kiedy, a wygłoszone piękne zasady czy przybiorą kiedy realne kształty, na razie twierdzić nie można, znając jednak i jedną i drugą z kochających się tak serdecznie stron, przypuszczaćby należało, że raczej skończy się tylko na zapewnieniu obopólnej zgody i miłości, a sprawy potoczą się, jak dotąd, zwyczajnym trybem. My, znani ze słomianego zapału, głosimy bardzo szczytne zasady, ale też i bardzo prędko o nich zapominamy. Czesi zaś znani są już z tego, że miłość u nich miłością, ale interes to grunt. Przy śniadaniach, obiadach i uroczystych wieczerzach zabawiliśmy się w towarzystwo wzajemnej adoracyi, Czesi chwalili Polaków, Polacy Czechów, każdy mimochodem wtrącił i coś na własną swą pochwałę i uwierzyliśmy, że rzeczywiście Czesi i Polacy to bracia rodzeni, którzy nigdy sobie na pięty nie następują, ale zawsze idą sobie na rękę i przeciw wspólnemu wrogowi od zachodu stanowią prawdziwe przedmurze Słowiańszczyzny.

Czy tak jest w rzeczywistości, każdy, zapatrujący się krytycznie na bieg wypadków, potrafi sam osądzić. Niedaleka przyszłość okaże, kto ma racyę, czy entuzyaści, zapatrujący się różowo na życie, czy też niedowiarkowie, do których niestety i ja należę, którzy woleliby mniej słów pięknych, a więcej czynów. Pierwszym owocem polsko-czeskiego zbratania się powinna być zmiana na lepsze stosunków narodowościowych na Śląsku austryackim, gdyż tak, jak się dzieje obecnie, jest niedobrze, szowinizm czeski obu narodowościom wychodzi na złe, a korzystają z niego Niemcy, podsycający spory, aby tem łatwiej rządzić w imię starej, nie bardzo moralnej, ale wygodnej zasady: *divide et impera!* Jeśli więc teraz nie ukończy się czesko-polska nagonka na Śląsku, musielibyśmy powiedzieć, że wygłoszone niedawno toasty, mające stwierdzić słowiańskie braterstwo, rozpłynęły się z wiatrem, a pozostało po nich tylko przyjemne wspomnienie.

Dzięki Czechom dowiedzieliśmy się, że w Częstochowie jest jakaś tam wystawa, urządzona podobno przez Polaków, w której bierze udział aż dwu wystawców z Galicyi! Ktoś, nie znający się na geografii, a nie mający pod ręką atlasu lub mapy, gotów myśleć, że Częstochowę oddziela od Galicyi choć z tysiąc kilometrów, nic też dziwnego, że galicyjscy przemysłowcy przelękli się oddalenia i nie obesłali wystawy. Najbardziej sielankowo postąpiła sobie galicyjska Liga przemysłowa, która zażądała od dyrekcyi wystawy nadesłania sobie sprawozdania o jej odbyciu. Niech się jednak Galicyanie pocieszą, z Krakowa do Częstochowy jest tylko pięć godzin jazdy koleją, może więc i Kraków pójdzie za przykładem Lwowa i urządzi wycieczkę na wystawę, aby naprawić to złe, które się już stało, a które ma źródło w naszej znanej ospałości i obojętności dla wszystkiego, co powinno być dla nas najważniejsze. Polacy z Kongresówki powinni nam być bliżsi niż Czesi, a rozwój ich kulturalny i przemysłowy powinien nas więcej obchodzić, niż kogo innego. Sztuczny podział słupami granicznymi nie powinien być przeszkodą, tamującą łączność i solidarność narodową, o której Galicya, niestety, niema pojęcia.

Jeśli z wygodnego i spokojnego snu nie obudziła nas częstochowska wystawa, może przecież poruszy nas wiadomość o trzech jubileuszach, jakie w bieżącym roku obchodzi naparstek, maszyna do szycia i puszka na konserwy. Dla amatorów tanich a smacznych wyżerek zdarza się dobra sposobność puszczenia wodzów swym upodobaniom. Jubileusze, to nasza specyalność, nie wątpię więc, że co rychlej zawiążą się komitety, mające za zadanie godne uczczenie tak znakomitych wynalazków, a za cenę wygłoszenia patryotycznej mówki można sobie smacznie podjeść i popić, a nawet i przynieść coś ze sobą do domu, jak to mieliśmy sposobność zauważyć w czasie rautu na cześć Czechów w salach starego teatru, gdzie cygara i rozmaite smakołyki ginęły w okamgnieniu w obszernych kieszeniach anglezów uczestników uroczystości. Chwalił się przedemną jeden z tak zwanych krakowskich „wyjadaczy“, który bierze udział w każdej uroczystości, o ile połączoną ona jest z jedzeniem i piciem (*nota bene* za darmo), że jak rok długi nie kupuje nigdy cygar, przyniesione bowiem z takiego festynu wystarczą zupełnie i dla niego i dla jego przyjaciół.

Dwa z tych jubileuszy nie wiele nas obchodzą. Mam tu na myśli naparstek i maszynę do szycia, przedmioty, należące do gospodarstwa domowego, podległego zarządowi damskiemu. Nasze panie powinny się zająć ich uczczeniem, dla mężczyzn pozostanie jubileusz puszki na konserwy, którą znają i miłują wszyscy, o ile jako c. i k. armia weszli z nią w bliższe stosunki z okazyi manewrów. Komitet krakowskich sufrażystek będzie miał *ex re* owych rocznic dobrą sposobność przypomnienia się światu i zażądania ponownie prawa wyborczego dla kobiet, skoro tak piękny przykład ruchliwości dają im angielskie koleżanki, nie przebierające w środkach, aby tylko dojść do upragnionego celu. Za nerwowemi Angielkami idą już i poważne a spokojne Niemki i na wrzesień przygotowują zbiorowe manifestacye pod hasłem: prawo wyborcze dla kobiet! Więc też i nasze panie nie powinny pozostać w tyle. Wspaniałomyślnie przyrzekam im poparcie moralne, bo na materyalne mnie nie stać. Robię to jednak nie z przekonania, że kobieta jest stworzoną do polityki, ale dla domowego spokoju, gdy bowiem moja czcigodna połowica zajmie się sprawami publicznemi i zacznie gonić na posiedzenia ankiet, komisyi i komitetów, będzie przynajmniej cicho w domu, a za tę cenę można się nawet zdobyć na poświęcenie gotowania obiadu, cerowania pończoch i skarpetek, przyszywania guzików i inne zajęcia, które dotąd należały do kobiet, a obecnie staną się udziałem mężczyzn. W tym celu kupiłem sobie już książkę kucharską i w wolnych chwilach badam tajniki kuchenne, aby w danej chwili nie być nieprzygotowanym.

Przy tej sposobności przekonałem się, że książka kucharska jest lekturą nader poważną i przyjemną, daleko korzystniejszą, niż n. p. zachwycanie się nadzwyczajnemi przygodami Sherlocka Holmesa, Nicka Cartera, Buffallo-Billa i jak się tam jeszcze nazywają bohaterowie modnych romansideł, przeciw którym obecnie księgarze ogłaszają krucyatę. Późno, bo późno to nastąpiło, w każdym jednak razie lepiej, niż gdyby tą sprawą miano się zupełnie nie zająć. Czytanie owych sensacyjnych opowieści narobiło dość złego, budząc niepotrzebnie młodzieńczą fantazyę i tak już przeczulonego społeczeństwa, psując i kalecząc nasz język i napychając polskim groszem kieszenie pruskich księgarzy, którzy zrobili na tem znakomite interesy. Wiele przestępstw, jakich młodzież nasza dopuściła się w ostatnich czasach ma swe źródło właśnie w owej lekturze, czas więc był najwyższy, aby ją wreszcie wyrugować. Należałoby jednak pomyśleć nad tem, aby młodzieży dać sposobność zaspokojenia gorączki czytania przez postaranie się o tanie a pożyteczne wydawnictwa pereł naszej literatury ojczystej lub choćby i obcej, ale w dobrych tłómaczeniach. Wydawnictwo takie musi się opłacić, a wydawca będzie mieć nadto tę moralną nagrodę, że społeczeństwo będzie mu wdzięczne, iż uwolnił je od tej plagi, jaką są płody chorobliwej fantazyi różnych zaściankowych grafomanów.

Należycie dobrana lektura jest potężnym czynnikiem cywilizacyjnym, który wprawdzie nie dorównywa żywemu słowu, mimo to jednak przyczynia się bardzo do podniesienia wykształcenia jednostek i ich umoralnienia. A tego bardzo nam potrzeba, gdyż z czasem jakoś tak dziczejemy, że zachodzi obawa powrotu do owego stadyum, w jakim ludzkość znajdowała się przed lat tysiącem. Świadectwem tego mnożące się coraz bardziej skargi na różne wybryki i to nietylko młodzieży, ale nawet i starszych, którzy przecież powinniby świecić innym przykładem. Dość wspomnieć o niszczeniu wszystkiego, co nam wpadnie pod rękę, a co nie jest naszą własnością. Wystarczy przejść przez plantacye, aby się przekonać, że ławki pokrajane nożem, sztachety pogięte i połamane, każdy kwiatek i gałązka, o ile dosięgnąć je można, zniszczone. Sprawia nam jakąś przyjemność wyrządzenie szkody, a im ona większa i bardziej bezsensowa, tem bohaterstwo większe. Tutaj zaliczyć także należy epidemię podpisywania się wszędzie, na pomnikach, ścianach kościołów i budynków pamiątkowych, drzew i to nietylko ołówkiem, bo to się da zmyć, ale dłutem lub scyzorykiem, aby trwalszym był dowód naszego wandalizmu. Nic też dziwnego, że z młodego pokolenia, wychowanego w tym duchu, rodzi się potem nowe, które za nic ma sobie wszystkie zabytki i pamiątki, czyli inaczej mówiąc z młodych a lekkomyślnych młodzików wyrastają potem nasi „burzymurki“, których razi każdy zabytek, przypominający dawne lepsze czasy. Nawracajmy więc, póki czas, wkrótce może bowiem być za późno!

Wszystko da się jednak poprawić, byle tylko były dobre chęci, a na nich zdaje się nam nie zbywa. Choć przysłowie powiada, że droga do piekła wybrukowana jest dobrymi zamiarami i chęciami, ja sądzę, że byle chęci były, to jakoś to pójdzie. Bierzmy sobie przykład z pana Głąbińskiego, który nic sobie nie robiąc z gorąca i kanikuły, postanowił naprawić sytuacyę, i na dzień 17 sierpnia zwołał konferencyę przewodniczących klubów, aby poznać stanowisko wszystkich stronnictw wobec kwestyi uruchomienia Izby w zbliżającej się sesyi. Zastępcy Unii słowiańskiej, głównego źródła obecnej parlamentarnej obstrukcyi, oświadczyli, że nie powzięli dotąd uchwały, by prowadzić dalej politykę obstrukcyjną, jednakowoż muszą sobie zastrzedz swą opozycyjną taktykę na czas zwołania Rady państwa i nie mogą na razie dać żadnych zobowiązań. Przewodniczącego dr. Głąbińskiego upoważniono do porozumienia się z rządem i stronnictwami, celem zapewnienia zdolności do pracy Rady państwa i rozjechano się w nadziei, że przecież uda się jakoś dojść do porozumienia i już w najbliższej przyszłości będzie mógł parlament podjąć normalną pracę.

Z tej okazyi wydała Unia słowiańska oficyalny komunikat, w którym między innemi potępia stanowczo prześladowanie, jakiego doznaje ludność słowiańska w krajach austryackich i wzywa rząd kategorycznie do zapewnienia mniejszości słowiańskiej należytej obrony. W odpowiedzi na to ogłosili wolnomyślni Niemcy, iż dążeniem ich będzie, aby interesy niemieckiej ludności nie doznały żadnego uszczerbku, czyli innemi słowy mówiąc, zapowiadają wojnę, byle tylko zapewnić sobie pierwszeństwo.

Panowie z pod sztandaru czarno-białego narzekają ciągle na ucisk Niemców przez narodowości słowiańskie, a zapominają, że Austrya jest tylko *de nomine* państwem niemieckiem, *de facto* zaś posiada słowiańską większość, a ta przecież postponować się nie pozwoli. Jaką tolerancyą odznaczają się Niemcy wobec innych narodowości, mieliśmy sposobność przekonać się z ostatnich występów wiedeńskich prusofilów, którzy zorganizowali nagonkę na Czechów, udających się do Wachau, przedtem zaś prowokowali ich w Szwechacie i Simeringu, głosząc całemu światu, iż odpierają tylko zamach na niemiecki charakter Wiednia. Z jaką zapalczywością występują Niemcy „na swoich śmieciach“, łatwo każdy zrozumie, kto widzi, że i u nas, choć są w tak znikomej mniejszości, usiłują przecież narzucić nam swą władzę i wolę, a my obchodzimy się z nimi przecież z wszelką galanteryą i sami przez to ponosimy szkodę. Interesy nasze nie są nigdy wspólnymi, w każdym razie miejsca dość, byśmy się obok siebie pomieścili, trzeba tylko trochę dobrej woli i wyrozumiałości. Tej niestety Niemcom brak, krzyżacka buta odzywa się co chwila i paraliżuje usiłowania rozsądnych jednostek. Wobec takiego stanu rzeczy trudno przypuścić, aby konferencya, zwołana przez dra Głąbińskiego przyczyniła się do wyklarowania stosunków, tembardziej, że obecny wiatr, wiejący w Kole polskiem, jest pomyślny dla Niemców i przyczynić się może do zwiększenia tylko i tak potwornie już rozrosłych ich żądań i uroszczeń.

Żal mi swoją drogą tej Austryi! Poczciwa staruszka prócz dolegliwości wewnętrznych, które z roku na rok coraz bardziej jej dokuczają, ma do czynienia i z zewnętrznymi kłopotami, a i te od chwili aneksyi Bośni i Hercegowiny mnożą się, jak grzyby po deszczu. Doszło już do tego, że taka mizerna Czarnogóra, którą możnaby przeskoczyć lub nakryć nowomodnym damskim kapeluszem, zaczyna jej grozić i pokazując wyszczerbione zęby, gotuje się do rozprawy z sąsiadką za ośm miesięcy. Nic w tem może niema dziwnego, sąsiedzkie niesnaski między osobnikami rodzaju żeńskiego są na porządku dziennym. Tak dzieje się między zwykłymi śmiertelnikami, tak samo i w polityce. Spór sąsiedzki o kurkę lub świnkę, która przeszła na obce terytoryum, staje się przyczyną zatargu między serdecznemi nawet przyjaciółkami, które zbrojne w miotły lub pogrzebacze, rozpoczynają utarczkę słowną, a gdy ta im się sprzykrzy, przechodzą do czynu. Z poza płotów przyglądają się inne kumoszki, zachowując się na razie neutralnie, gdy jednak poważnione wezmą się za łby i one, początkowo tylko słownie, potem i czynnie stają po stronie jednej z walczących. Taką przyglądającą się przyjaciółką będzie chciała być względem Czarnogóry Serbia, która nie może zapomnieć, iż pomysł Aehrenthala ugodził ją w najsłabsze miejsce, bo zniweczył marzenia o państwie wielkoserbskiem.

Zjazd w Borzęcinie.

(Do illustracyi na stronie 3).

Jedną z największych wsi galicyjskich jest Borzęcin. Liczy on około 5000 mieszkańców, a znany jest z wysokiej kultury, to też wydaje z pośród mieszkańców wielu światłych pracowników na niwie



Fot. „Świteź“, Częstochowa.
Czesi w Częstochowie: Inż. Alfons Bogusławski, dyrektor wystawy.

narodowej. Corocznie udają się stamtąd liczne zastępy młodzieży do szkół średnich, by po ich ukończeniu zająć zaszczytne nieraz stanowiska w społeczeństwie.

W roku bieżącym, w pierwszej połowie sierpnia, odbył się zjazd inteligencyi z Borzęcina w rodzinnej wsi. Przybyło na ten zjazd 12 księży, 13 urzędników różnej kategoryi, 4 profesorów gimnazyalnych, 26 nauczycieli ludowych, oraz grono akademików, jakoteż młodzieży gimnazyalnej.

Z pod gmachu nowej szkoły ludowej borzęcińskiej, ruszono pochodem do kościoła parafialnego, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo, w czasie którego wygłosił piękne kazanie ks. dr. Jakób Górka z Tarnowa, prezes zjazdu. Następnie udali się uczestnicy zjazdu do jednej z sal szkoły ludowej, gdzie wygłoszono szereg przemówień. Ostatni przemawiał wójt Borzęcina, dając wyraz radości imieniem gminy, że z grona jej mieszkańców wyszedł tak liczny zastęp dzielnych pracowników na polu społecznem i narodowem.

W czasie wspólnego śniadania, poprzedzonego zdjęciem fotograficznem grupy uczestników, toastowano serdecznie, a wieczór odbyła się zabawa taneczna, ochocza i wesoła.

Następnego dnia, po nabożeństwie żałobnem za dusze zmarłych mieszkańców Borzęcina, odbyło się zebranie w szkole, gdzie uchwalono założyć we wsi rodzinnej na pamiątkę zjazdu dom ludowy i na cel ten zdeklarowali obecni 5500 kor.

Na zakończenie pięknej uroczystości odbyło się przedstawienie amatorskie, które wypadło doskonale i zostawiło, podobnie jak cały zjazd, bardzo miłe wrażenie po sobie.

Czesi w Częstochowie.

Po dwu dniach pobytu w prastarej stolicy Polski, Krakowie, podążyła wycieczka czeska do Częstochowy a następnie do Warszawy.

W środę wieczorem ubiegłego tygodnia stanęli wycieczkowcy na stacyi Granica, gdzie publiczność miejscowa powitała gości bardzo serdecznie. Zjawił się tam także komitet częstochowski, imieniem którego przemówił hr. Zygmunt Plater. Z Granicy ruszyli uczestnicy wycieczki osobnym pociągiem wprost



Fot. „Świteź“, Częstochowa.
Czesi w Częstochowie: Generał OO. Paulinów, ks. Rejman (X), w otoczeniu najwybitniejszych gości czeskich.

do Częstochowy, witani jeszcze po drodze w Zawierciu przez miejscową ludność.

Już na dworcu częstochowskim rozpoczęły się owacye na cześć miłych gości. W chwili gdy pociąg zajechał na peron, rozległy się okrzyki powitalne i oklaski, przy akompaniamencie orkiestry z fabryki „Częstochowianki“. Imieniem komitetu wystawowego powitał gości Stefan ks. Lubomirski, przemową, wygłoszoną w języku czeskim, na co odpowiedział w serdecznych słowach burmistrz Pragi dr. Grosz.

Z dworca udali się goście powozami do swych kwater, a następnie zebrali się na placu wystawy, gdzie znowu wygłoszono kilka mów powitalnych.

Następnego dnia po mszy św. w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, zwiedzono pamiątkowy, prześliczny klasztor na Jasnej Górze, podczas czego śpie-



Czesi w Częstochowie: Powitanie Czechów przez orkiestrę ludową Namysłowskiego na Jasnej Górze. Fot. „Świteź“, Częstochowa.

wała „Lutnia" miejscowa oraz chór klasztorny, a grała orkiestra włościańska Namysłowskiego w barwnych strojach ludowych.

Popołudniu zwiedzano bardzo szczegółowo całą wystawę częstochowską, a najwybitniejszych Czechów oprowadzał po placu i pawilonach, udzielając wyjaśnień, generał OO. Paulinów, ks. Rejman.

Wieczorem odbył się bankiet, a po nim „czarna kawa" w „Lutni", gdzie może najprzyjemniej czas spędzono, dzięki serdecznemu i szczeremu nastrojowi.

W piątek rano ruszyli Czesi osobnym pociągiem do Warszawy.



Czesi w Częstochowie: Grono pań czeskich, uczestniczących w Wycieczce do Częstochowy. Fot. „Świteź", Częstochowa.

Zagrożona pamiątka.

(Do illustracyi na stronie 4).

Z trudną zaiste do pojęcia lekkomyślnością odzierają Kraków z jego szat starożytnych jego właśni mieszkańcy, którym powinnoby przecież na tem zależeć, aby to miasto zachowało je jak najdłużej. Kraków miastem „modern" nie jest i być nie może z wielorakich powodów, a cały urok jego polega na starych murach, niekiedy o znacznej artystycznej wartości, a zawsze posiadających dla nas wielkie znaczenie pamiątek dawnych, lepszych czasów. Nie jesteśmy wprawdzie zwolennikami przesadnego konserwowania każdego szczegółu budowlanego, przechowanego z przeszłości, szczególniej jeżeli nie posiada wartoś i pod względem artystycznym, lub pamiątkowym, ale też nie możemy patrzeć obojętnem okiem, gdy „burzymurki" krakowskie bez koniecznej potrzeby usuwają budowle pamiątkowe, do których przywiązujemy *pretium affectionis*.

I znów jedna z takich pamiątek krakowskich, związanych tradycyą z osobą Kościuszki, ma uledz zburzeniu gwoli interesom spółki budowlanej, która nabyła od p. Götza kompleks kamienic, mający trzy fronty na ulice: Krupniczą, Podwale i Studencką.

Mamy tu na myśli tzw. „basztę", a właściwie nadbudówkę nad bramą, wiodącą niegdyś do ogrodu, w którym ongi stał pałacyk Wodzickich, ostatnio zaś Michałowskich. Otóż w tej nadbudówce mieszkać miał — co zresztą jest prawie pewnem — Kościuszko w 1794 roku, tuż przed wybuchem powstania. Z tej samej zaś posesyi wyszedł z Wodzickim tylną furtką do kościoła Kapucynów, gdzie złożył przysięgę i gdzie poświęcono im szable.

Pominąwszy wartość pamiątkową tego budyneczku, którego zdjęcie podajemy w niniejszym numerze, jest on także jednym z charakterystycznych zabytków budowlanych, które ulicom naszego grodu do niedawna jeszcze nadawały wygląd odrębny, tak różny od schematycznego wyglądu, dajmy nato ulic Lwowa, lub Warszawy.

Mała jest wprawdzie nadzieja, aby „baszta", o której mowa, została uratowaną, jednakowoż uważaliśmy za swój obowiązek zabrać głos w tej sprawie. Szkoda byłoby doprawdy, gdyby na jej miejscu wzniesiono bezstylowe koszary czynszowe.



Z krainy Berberów: Dziewczęta maurytańskie



Z krainy Berberów: Ulica w Tetuanie.

Z krainy Berberów.

Wypadki ostatnich dwóch miesięcy zwróciły uwagę całego świata na skaliste wybrzeża Afryki północnej, których mieszkańcy są nominalnie poddanymi sułtana marokkańskiego, lecz w gruncie rzeczy cieszą się zupełną niezależnością. Mieszkańcy ci — to Berberowie, tubylcy afrykańscy, którzy od niepamiętnych czasów zajmują całe północne wybrzeże Afryki, począwszy od zachodniej granicy Egiptu a kończąc na północno-zachodniej krawędzi tej części świata. Nawet autochtonowie wysp Kanaryjskich zaliczali się do szczepu Berberów.

Panowanie Rzymian w tamtych stronach, ograniczające się przeważnie do punktów nadmorskich, nie wpłynęło bynajmniej na zmianę cech charakterystycznych ówczesnych Numidów, Gaetulów, Najamonów i t. d., którzy byli przodkami dzisiejszych Berberów. Dopiero najazd Arabów w VII. wieku naszej ery odbił się na Berberach. Przyjęli islamizm, odepchnięci zostali na wielu miejscach w głąb kraju a język ich tam, gdzie stykali się z Arabami, uległ znacznym wpływom języka tych ostatnich, którzy cywilizacyą o całe niebo przewyższali dzikich tubylców.

Przez całe średnie wieki, następnie zaś aż do chwili zdobycia Algieru przez Francuzów w 1830 roku, mieszkańcy północnego pobrzeża Afryki słynęli jako zuchwali rozbójnicy morscy i stanowili prawdziwą plagę dla Włoch, Hiszpanii a nawet południowej Francyi. Szczególniej mieszkańcy er Rifu, okolicy, której nazwę tak często spotyka się teraz na szpaltach dzienników, słynęli jako niebezpieczni piraci.

Hiszpanie w ciągu wieków wiele razy wyruszali przeciw tak bliskim a tak niebezpiecznym sąsiadom. Nigdy jednak poważniejszych wyników osiągnąć nie mogli. Jedynym rezultatem ich wypraw było zajęcie kilku punktów na wybrzeżu, czyli tzw. *presidios*, zamienionych na fortece, mogące stawić czoło Berberom. Najważniejszą z tych *presidios* jest twierdza Cento, dalej idą: Velez de la Gomera, Alhucemas, a wreszcie Melilla, pod której murami toczą się teraz zacięte walki. Realnej wartości te ufortyfikowane punkty nadbrzeżne nie mają prawie żadnej dla Hiszpanów. Berberowie bowiem niechętnie wchodzą z nimi w stosunki handlowe, będąc ludem przeważnie rolniczym i o bardzo ograniczonych potrzebach, tak że owe *presidios* służyły przeważnie do zsyłki zbrodniarzy, skazanych na dłuższe kary więzienne.

Dopiero ostatnimi czasy odkryto koło Melilli bogate pokłady rudy żelaznej i ołowianej. Zawiązało się wkrótce konsorcyum międzynarodowe — przeważnie z kapitałami francuskimi — i zaczęto te pokłady eksploatować. Ale wkrótce pokazało się, że „zrobiono rachunek bez gospodarza“. Terytoryum, na którem odkryto owe pokłady, bezsprzecznie należało do krajowców, których o pozwolenie nie pytano i wcale nie wynagrodzono za skarby, znalezione we wnętrzu ich ziemi. Oburzyli się oni zupełnie słusznie na podobne postępowanie, wypędzili górników, zniszczyli kolejkę, prowadzącą od kopalni do Melilli i wobec załogi tej twierdzy zajęli groźną po-



Z krainy Berberów: Kobiety berberyjskie z dziećmi.



Z krainy Berberów: Rodzina berberyjska, zgromadzona na dachu domostwa.



Młody Maurytanin.



Przekupień berberyjski.



Tancerka berberyjska.



Kuglarz berberyjski.

Z krainy Berberów.

stawę. Taka jest geneza walk, toczących się w tamtych stronach, walk podjętych przez Hiszpanów właściwie z punktu honoru, a nie w widokach jakichś praktycznych korzyści.

W dzisiejszym numerze podajemy cały szereg oryginalnych zdjęć fotograficznych, odnoszących się do tego ciekawego kraju i jego mieszkańców, którzy i w typie swoim i swem życiu zachowali ślady zamierzchłej przeszłości. Berberowie wogóle — z wyjątkiem plemienia Tuareyów, zamieszkujących półszana, pochodząca od połączenia Arabów z Berberami. Nazwa ta nadaną została, choć niesłusznie, także Arabom, którzy podbili Hiszpanię. Maurowie różnią się znacznie usposobieniem i charakterem od Berberów. Chętnie zajmują się handlem, są zniewieścieli, przewrotni, fanatyczni i jeszcze więcej nie nawidzą Europejczyków, niż mężni synowie Er Rifu.



Z krainy Berberów: Berberowie z Er Rifu, oczekujący nieprzyjaciela

nocną Saharę — okazują daleko mniej skłonności do życia koczowniczego, niż Arabowie, chętnie zajmują się rolnictwem i uprawą ogrodowów, zręczni są w wyrabianiu prostych tkanin, które umieją ładnie farbować, w ich wyrobach garncarskich przechowały się cechy, sięgające wstecz dwadzieścia wieków. Berberowie znani są, jako doskonali płatnerze, broń sieczna, przez nich wyrabiana, nie ustępuje arabskiej.

Głównym rysem charakteru Berberów jest waleczność i umiłowanie ziemi ojczystej i wolności. Dlatego też Francuzi z nikim nie mieli tyle kłopotu w Algierze, co z Kabylami, szczepem berberyjskim, mieszkającym pośród gór Atlasu. Berberowie są wobec cudzoziemców podejrzliwi, lecz szanują, podobnie jak wszystkie napółcywilizowane narody, święte prawo gościnności. Poza tem są mściwi i w obejściu z wrogiem okrutni. Kobiety zajmują u nich stanowisko o wiele wyższe, aniżeli u innych ludów, które islam wyznają.

Po miastach nadbrzeżnych, a także i we wnętrzu Marokka, mieszkają Maurowie, t. j. rasa mię-

Tajemnicza ucieczka.

Powszechnie znany jest fakt, że przy pewnych rodzajach obłędu umysłowego chorzy, prześladowani przez jakąś *idée fixe*, okazują tyle przebiegłości i wyrafinowania, że mógłby im pozazdrościć na tym punkcie najsprytniejszy oszust lub zbrodniarz o zdrowych zmysłach. Jednym z takich okazów psychopatycznych jest Józef Serafin, przybierający nazwisko Ilnickiego, którego ucieczka z zakładu dla obłąkanych w Kulparkowie ubiegłego tygodnia tyle narobiła hałasu, a którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze.

Przypominamy pokrótce awanturnicze przygody tej, bądź jak bądź interesującej osobistości. Serafin pochodzi z pod Żurawna w Galicyi. W r. 1899 pojawił się na bruku wiedeńskim i zaczął tam odgrywać tajemniczą rolę ofiary prześladowań rządu rosyjskiego. Lecz już w 1901 roku wszedł w kolizyę z sądami i został skazany za wymuszenie na 10 miesięcy więzienia. W śledztwie opowiadał on wtedy fantastyczne historye ze swego życia. Mianowicie miał on z powodu prześladowania za politykę umknąć z Rosyi w 1889 roku, a powróciwszy tam niebawem został uwięziony, lecz zdołał uciec z więzienia. Król Edward miał mu radzić, aby się osobiście zwrócił do cesarza Mikołaja. Aby módz pojechać do Kopenhagi, gdzie bawił wtedy cesarz, chciał wydostać pieniądze od pewnej zamożnej osoby, która jednak zeznała, że chciał na niej wymusić pieniądze, by dokonać zamachu. Po wyjściu z więzienia Ilnicki wyszukał sobie jakiegoś naiwnego Rosyanina w Wiedniu i wyłudził od niego 10.000 koron, przedstawiając się jako szef policyi wiedeńskiej. Następnie w Kopenhadze i Darmsztadzie napróżno starał się ze swym memoryałem dotrzeć do osoby cesarza Mikołaja. Wreszcie w r. 1904 wykonał zamach na posła rosyjskiego w Bernie, Szadowskiego, poczem sam się oddał w ręce policyi.

Serafin, uznany za waryata, osadzony został w zakładzie w Müssingen. Udało mu się zbiedz stamtąd, lecz został wkrótce schwytany i jako austryacki poddany wydany władzom austryackim. Osadzono go w Steinhof. Znów uciekł stamtąd w ubiegłym roku i dopiero po trzech miesiącach przytrzymano go we Lwowie i odesłano do Kulparkowa, skąd znowu się ulotnił.



Tajemnicza ucieczka: Józef Serafin *false* Ilnicki.

Głosy publiczne.

Sanatoryum w Zakopanem: Od dr. K. Dłuskiego z Zakopanego, otrzymaliśmy następujący list: Szanowna Redakcyo! W dniu 9 sierpnia korespondent z Zakopanego przesłał telegraficznie do Szanownej Redakcyi wiadomość o odbytem Walnem Zgromadzeniu członków Zakopiańskiego Sanatoryum dla chorych piersiowych, mówiąc o sprawozdaniu Dyrekcyi Zakładu, a zatem o mojem własnem, dosłownie: jak następuje: „Sprawozdanie wykazało stale postępujący rozwój Zakładu, zarówno pod względem leczniczym, jak i frekwencyi pacyentów“. Dzięki niedbalstwu Urzędu telegraficznego w Zakopanem, sprawozdanie to przekręcono wten sposób, że zamiast: „stale postępujący rozwój “etc. dodano: „słabo postępujący“ etc. Proszę więc o sprostowanie tego błędu.

Z poważaniem

Dr. Kazimierz Dłuski.

Kierownik Sanatoryum.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 32.

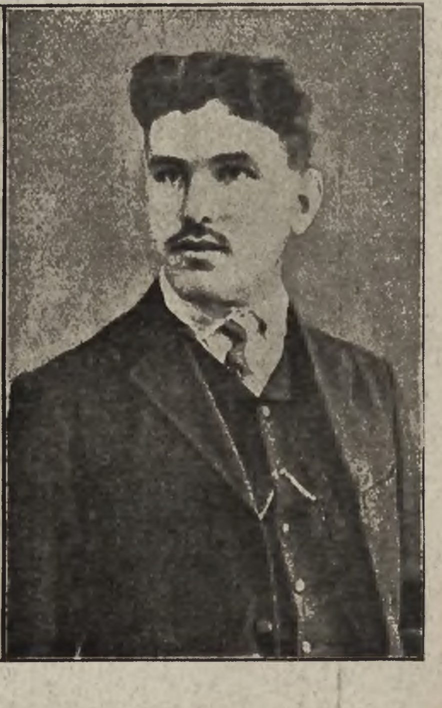
Szarada: Kopalnie.
Logogryf: Jan Lam.
Szarada: Ambona.
Logogryf: Tadeusz Wojciechowski.
Szarada: Kuropatwa.
Arytmogryf: Dorejka, stolnik, Kordowa, kijanka.
Zadanie do przestawienia: Plecie jak Piekarski na mękach.

Bandyci w banku.

(Do art. na str. 2).



Abraham Specter, poszukiwany przez władze uczestnik napadu na bank ludowy w Rjece.



Piotr Orłow vel Fridwenko, ujęty w Zurychu, uczestnik napadu na bank ludowy w Rjece.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: B. Berger Lwów, O. Górkowa Chyrów, L. Lemiszewski Kołomyja, M. Liskowacki Kraków, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów, J. Ostersetzer Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, Z. Trzemeski Kielce, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, F. Wolf Kraków, A. Dziewoński Przemyśl, H. Drzymuchowski Kraków, M. Bobrzyński Kraków, L. Reiter Stryj, O. Lewensohn Kraków, B. Malicki Kraków, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Zakopane, Lemański Warszawa, J. Rotter Rzeszów, B. Langer Kraków, J. Stepański Kraków, J. Dobrucki Kołomyja, M. Gabrysiewicz Ottynia, L. Babicki Kraków, J. Arnold Lwów, M. Sękowski Podgórze, S. Krzyżanowski Przemyśl, J. Germański Podwołoczyska, M. Klappholz Rzeszów, J. Obst Tarnów, J. Romanowski Kraków, J. Tabor Rzeszów, Z de Boulangé Gawłówek, K. Lohn Warszawa, S. Naganowski Warszaszawa, M. Łopatkiewicz, M. Bartmańska i Z. Więckowski Krynica, J. Piękoś Brody, M. Januszówna Przemyśl, G. Hajduk J. Winkowska Tarnopol, F. Gebhardt Muszyna, J. Płaszecki Krynica, St. Zaremba Kraków, J. Łapiński Rzeszów, M. Osmulski Kraków, J. Kapliński Tarnopol, J. Pilecki Rzeszów, W. Weber Krosno, M. Potocka Kraków, J. Zabieszewski Bochnia, J. Rogoziński Lwów, M. Liskowacki Krosno, J. Wojciechowski i Z. Wiśniewski Lwów, Brzesko M. Roznerska Rzeszów, B. Michalec Kraków, St Krzyżanowski Kraków, B. Mulecki Kraków, W. Ostrowski Rzeszów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała *J. Winkowska Tarnopol.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

Pół roku zaledwie minęło, gdy dwu młodych ludzi zawiązało spółkę wydawniczą: **„Wisła“ w Krakowie,** spółkę mającą na celu jednoczyć sztukę polską wszystkich trzech zaborów i wypierać z naszego polskiego kraju pruską tandetę i pornografię, które na rynkach polskich zajmowały dotychczas wyłączne prawo zbytu.

Zmieniło się to od czasu, kiedy spółka wydawnicza: „Wisła“ wystąpiła z przepięknemi artniemi bardzo reprodukcyami obrazów najsławniejszych polskich malarzy i dała przez to możność nawet najuboższym warstwom zapoznania się z rozwojem polskiej sztuki i kultury artystycznej i zastąpienia obcej tandety wytworem przemysłu krajowego, polskiego.

Młodzi wydawcy, którymi są pp. A. Stolarski i W. Zapała nie zwrócili się po ukończeniu studyów do zwykłej u nas karyery urzędniczej, lecz zabrali się ochoczo do żmudnej pracy na polu krajowego przemysłu i swemi artystycznemi wydawnictwami dowiedli, że w rękach polskich nie powinna się ostać ani jedna obca pocztówka a zwł. pruska, gdy tak piękne a tanie pocztówki mamy wyrabiane w kraju!

Pocztówki: „**Wisła**“ są wszędzie do nabycia w cenie **14 hal. za sztukę.** Adres wyd.: „**Wisła**“ **Kraków, Karmelicka.**

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

ZAPACH DAMY W CZERNI

napisał Gaston Leroux.

26 (Ciąg dalszy

— Lecz jeżeli jabym był Larsanem — zawołał ironicznie, lecz zdesperowany Darzac — to posiadając już pannę Stangerson, która została moją żoną, winienbym podtrzymywać w niej wiarę w śmierć Larsana! Przecież nie wskrzeszałbym sam siebie i to na własną szkodę!... Przecież dopiero od ukazania się Larsana straciłem Matyldę!...

— Przepraszam pana, przepraszam! zaprzeczył Rouletabille, blady jak płótno... Wnioskuję tym razem inaczej: jeżeli żona wierzy. lub jest bardzo bliska uwierzenia, że pan jest Larsanem, wtedy należy wykazać jej, że Larsan istnieje poza panem!

Słysząc to, Dama w czerni podbiegła do Rouletabille'a i oparta o niego, zaczęła patrzeć w ponurą twarz Darzaca. My zaś tak byliśmy przejęci dowodzeniem Rouletabille'a, iż wprost pałaliśmy chęcią dowiedzenia się dalszego ciągu. Młody jednak reporter ciągnął niewzruszenie:

— Panu zależało na tem, by okazać, że Larsan istnieje poza panem, a nawet musiał pan to uczynić. Niech pan sobie wyobrazi... mówię wyobrazi tylko — że pan istotnie wskrzesił Larsana, jeden jedyny raz, mimowoli u siebie w oczach panny Stangerson i oto jest pan potem zmuszony wskrzeszać go ciągle poza sobą..., by przekonać żonę, że Larsan nie jest w panu! Ach, proszę, niech pan się uspokoi... Przecież to były tylko podejrzenia, twory mojej wyobraźni... Gdy rozumuję jednak, pan istotnie przedstawia się jako Larsan. Zapytuję też siebie, co mogło się stać panu na dworcu w Bourg, że panna Stangerson ujrzała Larsana?...

Robert Darzac nie przerywał, słuchając w milczeniu dalszych słów Rouletabille'a.

— Sam pan utrzymuje, że od chwili tego pierwszego wskrzeszenia, szczęście pańskie zaczęło się odsuwać od pana... Jeżeli tedy wskrzeszenie to nie mogło być umyślne, to było w takim razie przypadkowe!... Niech pan patrzy, jak się cała sprawa wyjaśnia... Długo zastanawiałem się nad wypadkiem w Bourg... Rozumuję tylko... niech się pan nie lęka... Pan jest w bufecie... Sądzi pan, że żona czeka na pana na peronie, jak to zresztą sama powiedziała... Po skończeniu swej korespondencyi, chciał pan zajść do wagonu, poprawić swą toaletę... sprawdzić, czy w pańskiem przebraniu nic się nie popsuło. Myślał pan: jeszcze kilka godzin tej komedyi, a po minięciu granicy w miejscu, gdzie ona w zupełności już należeć będzie do mnie, zrzucę tę maskę... gdyż ta maska w każdym razie nuży pana... i męczy nawet do tego stopnia, iż w przedziale pozwolił pan sobie na kilka chwil odpoczynku... Uwalnia się więc pan od tej fałszywej brody, od zbytecznych czarnych okularów i właśnie w tej samej chwili otwierają się drzwi... Żona pańska przerażona, spostrzegła w lustrze tylko twarz pańską bez brody, twarz Larsana i krzyknąwszy z przestrachu, uciekła... Ach! pan pojął niebezpieczeństwo! Będzie pan stracony, jeżeli żona nie ujrzy Darzaca, swego męża gdzieindziej! Maska szybko nałożona, wyskakuje pan drugiemi drzwiami i dobiega do bufetu właśnie w chwili, gdy żona tam się zjawia!... Pan stoi... Nie miał pan jeszcze czasu usiąść... Czy wszystko ocalone? Niestety! nie... Pańskie nieszczęście dopiero się zaczęło... Ta straszna myśl, że pan może jest Darzacem i Larsanem razem, nie opuszcza jej. Na dworcu, przechodząc koło latarni, spogląda na pana, puszcza pańską rękę i jak szalona wpada do biura naczelnika stacyi... Pan i to zrozumiał! Trzeba natychmiast wybić jej z głowy tę ohydną myśl... Wychodzi pan z biura i cofa się szybko z powrotem, utrzymując, że i panu ukazał się Larsan! By ją uspokoić i nas omamić na wypadek, gdyby wyjawiła swą myśl, sam nas pan uprzedza o tem, wysyła do mnie depeszę!... Postępowanie pańskie okazuje się teraz jasne!... Pan nie może jej odmówić spotkania się z ojcem, bo pojechałaby do niego sama!... A ponieważ nic jeszcze nie stracone, ma pan nadzieję powetować wszystko... W czasie jazdy, żona pańska naprzemian to wierzy, to lęka się. W przystępie jakby deliryum imaginacyi, daje panu rewolwer z tą ukrytą myślą: „Jeżeli to Darzac, niech mnie broni! jeżeli Larsan, niech mnie zabije!..." Tutaj już na Czerwonych skałach czuje ją pan znowu tak oddaloną od siebie, iż dla zbliżenia do siebie, okazuje jej pan znowu Larsana!... Wszystko więc bardzo jasno układa się w mej myśli. Łatwo też można wytłómaczyć i ukazanie się pana jako Larsana w Mentonie, gdy pan wyjechał jako Darzac na nasze spotkanie do Cannes. Wsiadł pan wobec świadków do pociągu, na stacyi Mentona-Garavan, lecz wysiadł pan zaraz na następnej stacyi, Mentona, ukazał się pan jako Larsan żonie i przyjaciołom, spacerującym po mieście i natychmiast pierwszym pociągiem ruszył pan do Cannes, gdzieśmy się spotkali. Gdy pan jednak dowiedział się od Artura Rance'a, że żona nie zauważyła pana i że cały trud przepadł daremnie, postanowił pan pokazać Larsana wieczorem na łodzi Tullia pod oknami Wieży Czworobocznej!... Widzi więc pan teraz, jak te sprawy na pozór bardzo skomplikowane, można łatwo wytłómaczyć, zwłaszcza jeżeli podejrzenia moje miałyby się sprawdzić.

Przy słowach tych, ja com widział i dotykał się „Australii" na ręku Roberta Darzaca, zadrżałem i spojrzałem na niego prawie z litością. I wszyscy dokoła mnie wstrząśli się, tak dowody Rouletabille'a były druzgocące. W jakiż sposób on teraz wyprowadzi jego niewinność? — Każdy zadawał sobie to pytanie. Robert Darzac po pierwszem wzruszeniu uspokoił się i patrzał z zaciekawieniem na młodego reportera, jak patrzą nieraz obwinieni na prokuratora, który swą wymową zdołał wpoić w podsądnych przekonanie o winach, jakich się nigdy nie dopuścili.

— Lecz ponieważ pan niema teraz tych podejrzeń — zapytał z dziwnym spokojem — w jakiż sposób pozbył się ich pan po tylu obciążających dowodach?...

— By ich się pozbyć, potrzebowałem pewności! Jednego prostego lecz zupełnego dowodu, któryby mi okazał w naturalny sposób, kto z dwojga Darzaców jest nim w istocie, a kto jest Larsanem! Dowodu tego dostarczył mi na szczęście pan wówczas, gdy utrzymując, co zresztą było prawdą, iż zamknął pan za sobą zaraz po wejściu do pokoju swego drzwi na zasuwki, kłamał pan, nie wyjawiając nam, że wszedł pan do tego pokoju koło szóstej godziny, a nie o piątej, jak utrzymywał ojciec Bernier i jak to sam mogliśmy stwierdzić. Pan tylko wtedy i ja wiedzieliśmy, że Darzac z piątej godziny, o którym pan mówiliśmy jako o panu, nie był wcale panem. A pan nie przeczył! Niech pan nie twierdzi teraz, jakoby pan nie przykładał żadnej wagi do tej piątej godziny, ponieważ ona tłomaczyła panu wszystko, ponieważ ona wskazywała, że inny, prawdziwy Darzac znalazł się o tej porze w Wieży Czworobocznej! Jak też po swem pierwszem udanem zdziwieniu pan teraz milczy! Jakiż interes mógł mieć prawdziwy Darzac w skrywaniu, że inny Darzac, który musiał być Larsanem, ukrył się przed pańskiem przyjściem w Wieży Czworobocznej? Jedynie tylko Larsan miał powody w zachowywaniu w tajemnicy istnienia drugiego Darzaca Z dwóch postaci Darzaca fałszywą musi być ta, która kłamie! W ten więc sposób pozbyłem się podejrzeń, zamieniając je w pewność! Larsan jest to pan! A człowiek, który był w szafie, jest Darzac!

— Kłamie pan! — zawołał, rzucając się na Rouletabille'a, ten, którego nie mogłem uważać za Larsana.

Wmieszaliśmy się jednak pomiędzy nich, a Rouletabille, który nie utracił wcale swego spokoju, wyciągnął rękę i rzekł:

— On tam jeszcze jest!...

Scena nie do opisania! Chwila niezapomniana! Na ruch Rouletabille'a drzwi szafy, pchnięte jakąś niewidzialną ręką otworzyły się i ukazała się postać zbyteczna! Okrzyki zdziwienia, radości i przerażenia napełniły Wieżę Czworoboczną. Z piersi Damy w czerni wyrwał się okrzyk rozdzierający:

— Robert!... Robert!... Robert!...

Był to okrzyk radości. Dwóch Darzaców zupełnie podobnych do siebie stało przed nami, lecz Dama w czerni nie mogła się pomylić. Kierowana sercem wyciągnęła ręce do drugiego! Tak, to on był, ten którego dotychczas szukała na twarzy tamtego! Tamten otoczony ze wszystkich stron chciał próbować jeszcze swego sposobu, który go nieraz ocalał. Nie mając najmniejszej wątpliwości co do wyniku argumentacyi Rouletabille'a, zachował tyle władzy nad sobą, iż nie zdradził się z niczem, lecz wyczekiwał sposobności do ucieczki. Tak też manewrował, że gdy wszyscy podbiegliśmy do prawdziwego Darzaca, on z błyskawiczną szybkością skoczył do drugiego pokoju, który służył za sypialnię dla Matyldy i zamknął za sobą drzwi. Za późno spostrzegliśmy jego ucieczkę. Choć pokój ten nie przedstawiał dla niego żadnego schronienia, byliśmy jednak jak oszaleli ze złości. Waliliśmy do drzwi, krzycząc:

— On ucieknie!... On znowu umknie!

Rouletabille otworzył zaraz drzwi na korytarz, zawołał z dołu służących i posłał ich po siekiery. Po powrocie ich zaczęliśmy wyważać drzwi i wkrótce poczuliśmy, że one ustępują; wtedy Rouletabille nakazał służącym wziąć strzelby i być w pogotowiu, ale wówczas tylko zrobić z nich użytek, gdyby nie można było ująć go żywcem. Potem nacisnął sam drzwi plecami i wtargnął do środka, a my za nim.

Na progu zatrzymaliśmy się pełni zdumienia. Larsan był tam! Był widoczny. Zerwał swą fałszywą brodę, zrzucił okulary i ukazał nam swą bladą, wygoloną twarz Fryderyka Larsana. Siedział spokojnie na środku pokoju w fotelu, z zwieszonemi po boku rękami, z głową odchyloną w tył, jakby przyjmował nas na audyencyi. Zdawało mi się, że nawet na ustach jego widzę lekki ironiczny uśmiech.

— Larsan! Poddajesz się?... — zawołał Rouletabille.

Lecz Larsan nie odpowiedział; w fotelu spoczywały tylko jego zwłoki.

Rouletabille wskazał nam na sztuczny otwór w jego pierścionku, w którym widocznie musiała znajdować się nadzwyczaj silna trucizna.

Artur Rance przyłożył ucho do jego serca i oznajmił, że wszystko już skończone.

— Zajmę się wszystkiem — zwrócił się do nas Rouletabille, prosząc o opuszczenie wieży. — Jest to osoba zbyteczna, której zniknięcia nikt nie spostrzeże.

I dał rozkaz Walterowi:

— Proszę przynieść „worek zbytecznej osoby“.

Skłonił się nam i pozostawiliśmy go samego ze zwłokami własnego ojca.

* * *

Natychmiast musieliśmy zająć się Darzacem, który czuł się bardzo źle. Słabość ta była jednak tylko chwilową, gdyż wkrótce przyszedł do siebie, otworzył oczy i uśmiechając się do żony, prosił ją, jak i panią Edytę o opuszczenie pokoju. Po wyjściu pań zajęliśmy się zbadaniem stanu jego zdrowia i okazało się, iż nie jest on w tak złym stanie, jak tego spodziewaliśmy się. Kula, która trafiła Darzaca w tej strasznej walce z Larsanem, spłaszczyła się na kości, wywołując dość silny upływ krwi i osłabiając przez to organizm, nie uszkodziła jednak żadnego ważniejszego naczynia.

...Gdyśmy zakładali bandaż Darzacowi, naraz ojciec Jakób zamknął drzwi pokoju, dotychczas otwarte. Zdziwiłem się, dlaczego to uczynił, lecz w tej samej chwili usłyszeliśmy kroki na korytarzu i szelest jakiegoś przedmiotu, ciągnionego po podłodze... Pomyślałem o Larsanie, o worku i Rouletabille'u.

Pozostawiłem Artura Rance'a przy Darzacu i podszedłem do okna. Nie omyliłem się; ujrzałem na dziedzińcu ten dziwny pochód. Była już prawie noc. Ciemności zalegały dokoła... Kierując się ku studni szedł Rouletabille i ojciec Jakób... dwa cienie, pochylone nad innym cieniem. Worek wydawał się ciężkim. Położyli go na obramowaniu studni, która była otwarta; Rouletabille wszedł do niej, poczem ojciec Jakób zsunął mu worek i zakrył starannie pokrywą otwór... Chciałem wiedzieć wszystko... chciałem widzieć wszystko. Pobiegłem do swego pokoju i przechylony przez okno wpatrywałem się w dal morza. Mrok pokrywał wszystko. Słońce, ginące za wodami, rzucało jeszcze na fale swe ostatnie promienie, znaczyło swą drogę czerwonemi smugami...

Wkrótce na to cienkie, krwawe pasmo wypłynął mały cień i zatrzymał się w dali od murów fortu. Poznałem w małej barce postać Rouletabille'a. Wydał mi się tak blisko, jakby był o kilka metrów odemnie... Najdrobniejsze jego ruchy znaczyły się wyraźnie na tym czerwonym śladzie... Nie trwało to długo. Nachylił się, podniósł jakiś ciężar i puścił go w mrok. Po chwili znikł mały cień, zatarła się czerwona smuga...

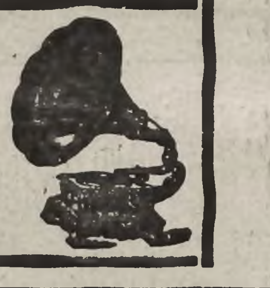
Rouletabille powierzył falom morza zwłoki Larsana.

* * *

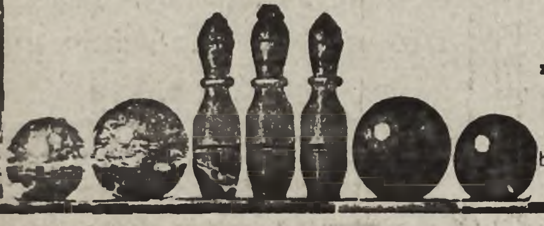
...Nicea... Cannes... Saint Raphael... Toulon!... Bez żalu spoglądam na mijane stacye... Na drugi dzień po tych przejściach spieszyłem opuścić Południe, powrócić do Paryża, pogrążyć się w swych sprawach... i jak najprędzej zostać sam na sam z Rouletabille'm, który jest obecnie o dwa kroki odemnie z Damą w czerni. Aż do ostatniej chwili, to jest do Marsylii, gdzie się rozłączą, nie chcę przeszkadzać ich słodkim, czułym zwierzeniom, ich projektom na przyszłość, ich pożegnaniom. Mimo próśb Matyldy, Rouletabille postanowił wrócić do swego zajęcia redakcyjnego. Dama w czerni nie mogła opierać się mu; podyktował swe warunki: chce, by państwo Darzac odbywali w dalszym ciągu swą podróż poślubną, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie stało się na Czerwonych Skałach. Nie ten Darzac, który rozpoczął tę podróż, skończy ją, lecz dla całego świata będzie to ten sam. Państwo Darzac są zaślubieni. Łączy ich prawo cywilne. Co zaś do prawa kościelnego, to rozwiązanie wszystkich trudności i skrupułów znajdą w Rzymie.

...W Wilczycy pożegnaliśmy się z profesorem Stangersonem... Robert Darzac wyjechał zaraz do Bordigery, gdzie miał czekać na Matyldę... Artur Rance i pani Edyta odprowadzili nas na dworzec. Pani Edyta wbrew moim oczekiwaniom nie okazała najmniejszego żalu z powodu mego odjazdu. Przypisywałem tę obojętność zjawieniu się na stacyi księcia Galicza. Było mi przykro. Muszę tu wyznać, iż nie wspominałbym o swoich dla niej uczuciach, gdybym w kilka lat potem, po tragicznej śmierci jej męża, Artura Rance'a, nie poślubił melancholijnej Edyty...

(Dokończenie nastąpi).











Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył A. B. Rzeszów.

Pierwsza i trzecia to potężna siła,
Która rozlicznych prac nam dokonuje,
Druga i trzecia, to schronisko lisa,
Gdzie go myśliwy z psami poszukuje.
Trzecia i czwarta ozdobą obrazu,
Im obraz brzydszy, tem świetniejsza ona,
Bywa pluszowa, albo i drewniana
I zwykle suto nadzwyczaj złocona.
Całości szukaj na każdym jarmarku
Znaleźć ją sądzę niezbyt wielka sztuka,
Bo przed jej drzwiami gapi się tłum wielki
Który w jej wnętrzu potem wrażeń szuka.

Zagadka do przestawienia.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie: Zebu, por, im, Ren, ług, wieją.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz Żarki.

— Oj! oj! gwałtu moja noga!
Nie nadążę mamciu droga! —
— A mówiłam, nie skacz Maniu!
Ale z ciebie jest uparta.
Druga pierwsza! Z tobą warta
Iść gdzie! Niech też zważa na nią
Trzeci z częścią czwartej Tadziu!
No, aleśmy się wybrali!
Otwórzno parasol Jadziu,
Bo deszcz coraz mocniej wali...
Hm... cóż robić, państwo moi,
Do szałasu nie tak blisko,
Ot tu druga trzecia stoi
Przeczekamy to deszczysko!
Nim znów całość zobaczymy
Jeszcze dość się namoczymy!

Zagadka przysłowiowa.

Ułożył A. Bujniewicz, Rzeszów.

Z podanych liter utworzyć znane przysłowie: Szkot, mirt, mętny, zyz, naco, zębata, moja, dać, nic, taje.

Logogryf.

Ułożył A. Bujniewicz, Rzeszów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby utworzyły wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery środkowe, umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko współczesnej powieściopisarki polskiej.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ciało lotne. 3. Imię żeńskie. 4. Stacya kolei na przestrzeni Kraków-Lwów. 5. Dopływ Dunaju. 6. Okres czasu. 7. Samogłoska. 8. Rodzaj poezyi. 9. Żołnierz rosyjski. 10. Przyprawa do ciast. 11. Miasto portowe w Niemczech. 12. Liczebnik. 13. Samogłoska. 14. Wykrzyknik. 15. Taniec polski. 16. Najdrobniejsza część składowa każdego organizmu. 17. Ptak. 18. Spód naczynia. 19. Samogłoska.

Zadanie konikowe.

Ułożył A. Bujniewicz, Rzeszów.

no	gro	je	lo	ły	je	na	wło
tam	zie	tam	tów	den	no	ska	wy
ca	cu	sza	czu	go	gło	sa	m ot
ma	tów	gdzie	dy	lo	ją	go	ko
ją	słoń	ko	o	on	nie	nie	ni
mio	pal	gwiaz	ny	t m	bia	tyl	ni
rych	tyl	ni	no	od	bio	o	le
ni	na	ost	ko	chro	ło	tam	sa

Przestawienie.

Ułożył Z. T. Lwów.

Rawa, smok, raj, Anna, Roza, rów, tama, Laa, mara, sioło, sok, barok, ruda.

Z każdego z powyżej przytoczonych wyrazów utworzyć inny, złożony z tych samych głosek. Początkowemi głoskami nowych wyrazów będą: A. A. J. K. K. M. N. O. O. R. U. W. W. Początkowe głoski nowo utworzonych wyrazów podadzą nam zdarzenie, którem zajmuje się obecnie światowa polityka.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Zofi Rygier Nalkowskiej:* **„Rówieśnice“** powieść.